Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Cena 30 gr.

GŁOS

DWUTYGODNIK POLSKIEJ MYŚLI NARODOWEJ

Nr. 7 | Poznań, dnia 5 kwietnia 1935 | Rok V

„...Kiedy nie daliśmy się pochłonąć i strawić mocarzom — najeźdzcom, też wyjdziemy chyba obronną ręką z sideł własnych złych narowów, z odmętów ciemnoty i zaciekłości partyjnej“.

Wacław Sobieski „Dzieje Polski“

Osierocona idea

Pisma codzienne wciąż donoszą o coraz groźniejszym dla Rosji konflikcie pomiędzy nią a Japonją, — chciałbym więc i ja z ciągłej aktualności tego wiecznie żywego tematu skorzystać i zwrócić uwagę na to, co on ważnego Polsce przynosi. Z góry się jednak zastrzegam, że nie chcę tu tłumaczyć jego znaczenia dla stosunków wzajemnych między nami a Rosją, bo któżby chciał jeszcze o tem mówić po Dmowskim. Chodzi mi o coś całkiem innego, bo o tę wielką zmianę, jaką rosyjskie kłopoty japońskie przynoszą Słowiańszczyźnie, stawiając ją na ideologicznem rozdrożu.

Chce bowiem paradoks dziejowy, że razem z zagasłym okresem petersburskim, tym najbardziej niemieckim w całych dziejach Rosji, ginie w niej i idea panslawizmu, jako czołowa idea jej ekspansji i polityki narodowej. Dziś panslawizm rosyjski należy do niepowrotnej przeszłości, a miejsce jego ideologów, różnych Pogodinów i Samarinów zajęli apostołowie nowej idei — eurazyjstwa: Sawickij, książę Trubieckoj, Wiernadskij czy inni. Ta nowa idea wyparła dawną, zwietrzałą; — panslawistami w sensie rosyjskim XIX wieku są dzisiaj tylko jeszcze niektórzy Czesi, a i oni będą musieli pożegnać się ze swojem marzeniem, bo Rosja obecna (i przyszła) słowiańską nie chce być i nie może.

I ten tak nagły zwrot w dziejach Rosji, ta zupełna zmiana duchowego jej oblicza, nie jest tylko jakimś żartem historji, — to tylko reakcja na inny żart — Piotrowy, reakcja wbrew wszelkim pozorom najbardziej narodowa, bo idąca wprost z ziemi rosyjskiej, z jej geografji i historji. Rosja bowiem w całych swoich dziejach nie była właściwie nigdy ani Słowiańszczyzną, ani Europą, ale zawsze tylko sobą — Eurazją. Do Europy wprowadził ją przemocą Piotr Wielki, łamiąc wszystkie jej tradycje, a do Słowiańszczyzny po trupie Polski, Niemka Katarzyna i jej wnuk Mikołaj, żonaty z córką króla pruskiego. Absurd filologicznego ujmowania historji powszechnej w XIX wieku i prawosławie wspólne z słowiańskim Bałkanem ułatwiły Rosji tę jej słowiańską maskaradę, którą później, rozwijający się konflikt państwa carów z Niemcami i Austrją utrwalił na długo. Ale że coś zawsze w tym panslawiźmie było nie w porządku wskazywało męczeństwo Polski i ta przepaść między Rosją a słowiańskiemi narodami, jakiej żadna frazeologja zapełnić nie zdołała.

To wszystko dziś się skończyło. W krwawej rewolucji Rosja odnalazła swe prawdziwe, przedpiotrowe oblicze, a temsamem odnalazła też swoją azjatycką treść i obwołując się triumfalnie Eurazją, wyrzekła się równocześnie swego słowianofilstwa, bo te dwie idee zasadniczo ze sobą sprzeczne w żaden sposób pogodzić się nie dadzą. Tak nagłe wycofanie się Rosji zdezorjentowało Słowiańszczyznę, zwaliło cały gmach filologicznego słowiaństwa i wytworzylo straszną próżnię. Nic więc dziwnego, że widząc to wszystko twierdzi się nieraz, że Słowiańszczyzna jako jakaś całość polityczna, czy kulturalna w istocie jest nonsensem, że panslawizm wyrażał tylko imperjalizm rosyjski, a nie jakąś słowiańską ideę, że wogóle ta jakaś ogólna idea słowiańska to fikcja. Nie jest to jednak prawdziwe.

Słowiańszczyzna jako twór historyczny, wzięta razem ze swemi międzysłowianami, jest rzeczą bardzo określoną i istnieje wobec tego i ogólnie słowiańska idea, ale interpretatorką tej idei niesłusznie się zrobiła językowo tylko słowiańska Rosja i stąd cale zamieszanie. Prymat w Słowiańszczyźnie prawnie należy się tylko Polsce i dziś, gdy Rosja wydartą jej przed laty ideę sama porzuca, nie widząc już w niej korzystnego dla siebie narzędzia — Polska powinna ją pojdąć i w ten sposób nawiązać dawną nić Jagiellonów. Osierocona przez Rosję idea słowiańska powinna wrócić do jej prawej dzierżycielki — Polski.

Zbyt często zapominamy o nakazach, płynących z naszych dawnych dziejów.

Czas z tem stanowczo zerwać, choćby właśnie w tej słowiańskiej sprawie. Przecież nasza słowianofobja i wogóle nasza rezerwa wobec słowian, wobec wszelkiego panslawizmu, pobratymstwa (śmiejemy się z tego), to przedewszystkiem owoc faktu, że swego czasu za mistrzynię Słowiańszczyzny obwołała się samowolnie Rosja i że w to świat, a nawet i sami słowianie, przejęci czcią dla jej mocy, uwierzyli; — ale znowu nasze słowianofilstwo to spuścizna o wiele starsza, bo sięgająca aż Warneńczyka i jego bałkańskich pochodów, spuścizna przytem bardzo wszechstronna.

Wszak politycznie mamy tu świetną tradycję „idei jagiellońskiej“, jaką była próba zorganizowania całego świata słowiańskiego w pewną łączną całość z Jagiellonami na wszystkich słowiańskich tronach. Kulturalnie mamy trwały prymat, począwszy od złotego XVI wieku, umocniony niebywałym prestiżem naszej świetnej historji i sławnej odsieczy wiedeńskiej, o której śpiewali chorwaccy poeci (za wzorem Gundulićowego „Osmana“) i ludowa poezja wszystkich narodów Bałkanu. Gdy wreszcie chodzi o tradycję bardziej teoretyczną, bardziej słowiańskości świadomą, to i jej nie brak, bo tworzą ją: Jan Potocki, Surowiecki, Rakowiecki, Majewski, Aleksander Sapieha, Maciejowski ... słowem cała ta zapomniana plejada uczonych, którzy tworzyli slawistykę równocześnie z Czechami, wyprzedzając ich nieraz jak np. Surowiecki Szafarzyka, a o których monografję napisał nie Polak, ale Rosjanin — Francew.

Tyle obserwacja naszej przeszłości i teraźniejszości rosyjskiej — a teraźniejszość niemiecka? — Ona także nas zachęca do podjęcia starej słowiańskiej tradycji — czyż rasizm nie jest i przeciw Słowiańszczyźnie?

KAROL STEFAN FRYCZ, Warszawa.

K. DOBRZYŃSKI, ŁÓDŹ

CREDO

Nie!....
. . . .
Nie pójdę, jak inni z wypranem odzieniem,
z licem gołębi —
lecz się wpierw stoczę do głębi
kamieniem!...

Lecz się wpierw w posoce zanurzę po szyję,
lecz się wpierw brudami i grzechami opiję
i wszystko zagarnę:
westchnienia czarne,
jęki i zgrzyty,
łamiące kurcze, konwulsyjne drgania,
chwyty
kościste wolnego konania...

Wszystko, co ziemskie, wszystko, w czem się tarzam,
zwlokę na stopnie Twojego oblicza —
rzucę to wszystko na słońc Twoich ścianę
z chrobotem cierni, obłędu szelestem
i stanę
jakim jestem — — —
z sińcami z ranami,
z błędami, przywarami...

Stanę
przed Twojem obliczem,
lecz już nie Prochem i Niczem —
lecz krzykiem — krzykiem w krtań wtłoczonym
stumiljonowym, szalonym,
soplami rubinowych strug
płynących z warg,
ścieżkami kamienistych dróg,
trzeszczeniem przywalonych bark...

Stanę,
jak pies skopany i bezdomny,
jak posąg ogromny
u Twych złotych krat.
Przez wieczność całą, do skończenia lat
zapłonę ócz pochodnią — ogniem gorejącym
i będę stał... milczący...
...Milczący...
Aż powiesz, że nieprawda, że to kłamstwem było;
ten mork i te otchłanie,
to rąk załamywanie,
że to nieprawda, że to nam się śniło!...
Tyś przecież za nas przelał krew w ofierze!
C h r y s t e !... W i e r z ę !...
Tobie też znana jest śmiertelna febra
i Tyś się pławił w swoim krwawym pocie,
gdy na Golgocie
najemny żołdak kopał Cię po żebrach.

C h r y s t e — w i e r z ę !...
Bunt, co mi w piersiach łopoce i rzęzi
zdławiłem w szczęk swych ściśniętych uwięzi
i wierzę.
Wierzę, że przyjdzie dzień,
dzień, chwila, minuta, błysk,
gdy miljon rąk,
las popękanych, zczerniałych rąk
uderzy w słońca płomienisty dysk,
jak w gong!...
. . . .
Choć mi skroń huczy pod kolbą uderzeń —
wierzę.
Wierzę tą wiarą przepastną, niezłomną,
jak mur ze stali, jak wszechświat ogromną,
co zdolna skruszyć najtęższe pancerze —
wierzę... Chryste! Wierzę!...
Z wiary i bólu ukutym orężem
JA CIĘ ZWYCIĘŻĘ!...
Zejdziesz na ziemię znękaną i czarną,
odgarniesz gruzy rękami jasnemi
i męki zwały —
posiejesz swoje życiodajne ziarno
i wstanie wielki, wspaniały
SYN ZIEMI!...

W numerze:

Na widnokręgu polityki europejskiej

Wydarzenia, jakie zaszły ostatniemi czasy na terenie polityki europejskiej, głowiącej się od zakończenia wojny światowej nad ustabilizowaniem pokoju, położą zdaje się bezpowrotnie kres frazeologicznemu aż do znużenia pacyfizmowi, który nietyle budował pokój, co wyzwalał demoniczne siły Marsa, drzemiące pod olbrzymim stosem traktatów, konwencyj i paktów, jakie w ciągu tych zgórą 15 lat zawarto.

Dziś, gdy Niemcy obaliły zasadnicze postanowienia traktatu wersalskiego w sprawie ograniczeń ich sił zbrojnych, pierzchają złudzenia i jasnem się staje, że właśnie w cieniu tego stosu traktatów odżyły te potężne siły, które w r. 1914 rozpętały nieznaną w dziejach zawieruchę wojenną.

Na skutek tego rodzaju wydarzeń i przemian Europa poczęła obecnie przeżywać gorączkę poszukiwania równowagi sił, którą uzbrajające się od dawna Niemcy naruszyły nietylko w dziedzinie zbrojeń, ale i w faktycznym układzie państw, broniących dotąd status quo, ustalonego przez traktat wersalski.

Przedwczesnem byłoby twierdzenie, że z frontu państw, że tak powiemy, prowersalskich polityka niemiecka przyciągnęła na swoją stronę Polskę.

Niemniej na tym odcinku sytuacja jest wcale niejasna, co uwidoczniło się wyraźnie w tem, że nasze M. S. Z. nie zajęło dotąd żadnego stanowiska w sprawie antywersalskiego kroku Niemiec.

Wprawdzie ambasador polski w Berlinie Lipski powiadomił rząd niemiecki o opinji rządu polskiego w tej sprawie, ale opinja ta jest wcale nieznana.

W tej niejasnej sytuacji rachuby polityczne idą raczej w tym kierunku, że front — status qou został osłabiony przez „wielką niewiadomą" pozycji Polski.

To przekonanie wzmacniają tylko takie fakty, jak entente polsko - niemieckie w dziedzinie politycznej i ekonomicznej, której wybitną jednostronność na korzyść Niemiec wykazał Klub Narod. w debacie sejmowej nad ratyfikacją umowy handlowej polsko-niemieckiej, oraz niewyraźny stosunek władz naszych do poczynań niemczyzny na ziemiach zachodnich, która wykazuje ostatnio szczególną ekspansję.

Wszystko to budzi w społeczeństwie daleko idące zastrzeżenia i obawy. Całe bowiem społeczeństwo, a szczególnie polskie ziemie zachodnie od tysięcy lat narażone na ekspansję germańską nie uwierzą nigdy w szczerość rzekomych zmian wiecznie antypolskich nastrojów niemieckich na filopolskie i to za tego reżimu, który w swojej walce o władzę zaciągnął tyle zobowiązań rewizjonistycznych w sprawie polskich granic zachodnich. Niemniejsze obawy budzi Gdańsk... Stąd niesłychanie trudno jest zachować polskiej opinji publicznej spokój, tembardziej, że jak na innem miejscu jest mowa, Anglja a także Francja i Włochy po długim okresie złudzeń musiały się uciec do mobilizacji i uzbrojenia narodowej siły, która jest dziś najpoważniejszą jeszcze gwarancją pokoju. Równocześnie wymienione państwa rozwijają wielką aktywność polityczną, zmierzającą do zmontowania solidarnego bloku państw, broniących status quo.

Optymistyczne informacje prasy o wynikach wizyty ministra Anglji Edena w Moskwie zdają się świadczyć, że Rosja wejdzie również do bloku prowersalskiego.

Panuje także powszechna opinja, że zupełne wyjaśnienie sytuacji zależy od stosunku Warszawy. — Zanim sytuacja zostanie wyjaśniona, czego szczerze sobie życzymy, narazie, powtarzamy, stanowisko Polski, a raczej rządu polskiego jest „wielką niewiadomą", istniejącą już od chwili zawarcia z Niemcami paktu o nieagresji w styczniu 1934 r.

Ten ostatni fakt wywołał duże zainteresowanie i niepokój zagranicą, a szczególnie we Francji. W związku z tem warto zanotować bardzo ciekawe studjum prof. uniwersytetu paryskiego J. Donnadieu, zamieszczone w lutowym zeszycie „Revue politique et parlamentaire" pod wiele znaczącym tytułem „Les nouvelles tendences de la politique extériere polonaise".

Autor, rozpatrując polską politykę zewnętrzną na szerokiej płaszczyźnie stosunków międzynarodowych, dał systetyczny jej obraz w następujących po sobie kolejno podrozdziałach odrębnych, lecz stanowiących jedną całość:

1) stosunki germańsko - polskie,
2) stosunki polsko - sowieckie,
3) Polska i państwa bałtyckie,
4) Polska i Mała Ententa,
5) Francja i Polska,
6) Polska, Anglja i Włochy.

Studjum zamykają konkluzje autora, który, trzeba tu zaznaczyć, wykazał dużą znajomość rzeczy w omawianym przez siebie tenacie.

Politykę polską po odbudowaniu państwa dzieli prof. Donnadieu na 2 okresy. Pierwszy okres obejmuje czas od zawarcia traktatu wersalskiego, od roku 1919 do roku 1933, do chwili objęcia przez Hitlera rządów w Niemczech, drugi okres od chwili rewolucji narodowo - socjalistycznej w Niemczech do dziś.

W pierwszym okresie Polska musiała okazywać dużą czujność zarówno na zachodzie względem rewizjonistycznych Niemiec, jak i na wschodzie względem Rosji, którą układ w Rapallo łączył ściśle z Niemcami.

W tej sytuacji Polska utrzymywała ścisły sojusz z Francją, Rumunją, przyczem stosunki z Czechosłowacją ulegały stałej poprawie.

Z chwilą atoli przyjścia Hitlera do władzy stosunki raptownie się zmieniły.

Związek Rosji z Niemcami uległ zupełnemu rozluźnieniu, natomiast następuje ściślejszy kontakt między Warszawą a Berlinem, szczególnie po zawarciu 10-letniego polsko - niemieckiego paktu o nieagresji. Na skutek tego zaczęto mówić o polsko - niemieckim aljansie.

Ale stwierdza prof. Donnadieu „aljans między Berlinem i Warszawą jest wielką niemożliwością".

„Polacy bowiem znają Niemców i dobrze wiedzą, że oni nigdy nie zrzekną się terytorjów, które utracili".

Stwierdzenie to autor popiera wykazaniem historycznego rozwoju stosunków polsko - niemieckich od czasów najdawniejszych aż do chwili bieżącej, w której jednakowo aktualnem jest niemieckie „Drang nach Osten", jak było niem 1000 lat temu. Podobnie, omawiając stosunek Polski do innych państw, prof. Donnadieu operuje w każdym wypadku historycznym rozwojem, co mu pozwala wytyczyć na podstawie objektywnych danych linje rozwojowe omawianych stosunków. W podrozdziale zatytułowanym — Polska i państwa Bałtyckie stwierdza autor, że Polska oddawna zabiegała o rozszerzenie swoich wpływów na państwa bałtyckie.

Stąd też wyszła inicjatywa stworzenia wielkiego bloku państw bałtyckich, w skład którego weszłyby Finlandja, Polska, Litwa, Łotwa i Estonja. Podróże jednak ministra Becka do stolic państw bałtyckich nie dały pożądanych rezultatów, ponieważ Litwa, Łotwa i Estonja bez udziału Polski w dn. 12 września 1934 r. w Genewie zawarły traktat sojuszu i współpracy.

„Można powiedzieć, że uchylenie się rządu warszawskiego od podpisania pierwszego projektu paktu wschodniego zadecydowało o powstaniu Ententy bałtyckiej", wnioskuje autor.

Pomimo tego stosunki między Polską a Łotwą i Estonją są dobre, a byłyby jeszcze lepsze gdyby ustał flirt polsko - niemiecki. W zakresie stosunków Polski do Małej Ententy nastąpiło w ostatnim roku duże rozluźnienie, szczególnie z Czechosłowacją, z którą od samego początku powstania tych państw stosunki były najlepsze.

Z drugiej strony autor notuje zbliżenie Polski do Węgier, które również niekorzystnie wpływa i budzi zastrzeżenia w Rumunji i u reszty państw Małej Ententy.

Mówiąc o stosunkach francusko - polskich autor nie unika pozytywnego i sympatycznego nastawienia uczuciowego, które jednak nie przeszkadza mu widzieć błędy wzajemne.

Szczególnie dobitnie akcentuje prof. Donnadieu błędy polityki francuskiej, które jego zdaniem wpłynęły na oziębienie aljansu polsko - francuskiego. Pakt lokarneński, w którym Francja pozwoliła Rzeszy zrobić wyraźną różnicę między granicami zachodniemi a granicami z Polską i zgodziła się na jednostronne gwarancje swoich granic bez uwzględnienia polskich, był pierwszym błędem polityki francuskiej względem Polski.

Drugim błędem była o 5 lat wcześniejsza ewakuacja Nadrenji, która pozbawiła zarówno Francję, jak i jej aljantów istotnej gwarancji bezpieczeństwa.

Projekt rozbrojenia wniesiony w r. 1932, niekorzystny dla Polski, a korzystny dla Niemiec był trzecim błędem polityki francuskiej. Czwartym błędem było przystąpienie Francji do Mussoliniego paktu czterech w roku 1933, paktu, który w pierwszej swojej redakcji miał za główny cel rewizję traktatów. Wprawdzie redakcja ta została zmieniona, ale fakt ten spowodował jeszcze silniejszą kampanję za rewizją traktatów.

„Na szczęście stwierdza autor, pakt rzymski nie był ratyfikowany".

W tych warunkach „rząd warszawski, widząc się wykluczanym z koncertu wielkich mocarstw, zbliżył się do Niemiec, które dawały wyrazy siły, podczas gdy my dowód słabości. Dyplomacja polska jest kierowana „par un homme nouveau, le colonel Beck", który nie ma cierpliwości swojego poprzednika".

TADEUSZ GRABOWSKI, POZNAŃ

Z wrażeń monachij

Szczególne wrażenie odnosi każdy wracający do Niemiec po przerwie dwuletniej. Wydaje się, że wraca się do innego kraju. Albowiem Niemcy zmieniły nietylko znak państwa ale i duszę. Ponurość północy opanowała nawet beztroskie południe, co nie dałe bynajmniej harmonji. Nad radosnym rozgwarem wzięło górę milczenie. Jakaś troska opanowała świat, snujący do niedawna wątek swej ideologji z założeń wprost przeciwnych od obecnych.

Przed dwoma laty dążyłem do Weimaru, które ówczesna ideologja uważała za najświętsze miejsce Niemiec. Od grobu Goethego, na którym spoczywał wieniec od państwa polskiego, wiał powiew h u m a n i t a r y z m u, w i a r y w c z ł o w i e k a, s w o b o d n e g o k u l t u p i ę k n a, na który złożą się wszystkie narody. Coś z tych marzeń uniwersalisty żyło jeszcze w atmosferze, w której słychać było już jednak ciężkie kroki ludzi nowej epoki. Podawano sobie już z ust do ust hasła nordyzmu, państwa ludowego, ustroju opartego na społecznym solidaryźmie, na nowej a wydobytej z instynktu rasy i prastarych mitów religji, na intuicjoniźmie, który pogrzebał intelektualizm liberałów, radykałów i socjalistów.

Dziś te hasła doznały urzeczywistnienia, by szerzyć kult ludowości, pierwotności, instynktu, skoro z tych podkładów wyrosła kiedyś dawna wielkość, którą przypominają koronne klejnoty pierwszych niemieckich cesarzy w Norymberdze. Niemieckość chce odzyskać zatraconą przez złudy liberalizmu i wszelkich z niego kierunków dynamikę i przetworzyć cały ustrój w celu wyłonienia elity, opartej o lud wsi jako ośrodek bezstanowego zbiorowego życia całości. Ta dynamika potępia wszelaką martwotę, chce stworzyć nowy styl życia, apeluje do ogółu wewnątrz i poza jego granicami politycznemi. Ta dynamika pragnie wznieść nowy duchowy układ, który nie ma nic wspólnego ani z kulturą antyku, ani z chrześcijańską utopją, w imię głosów rasy, zmysłu rzeczywistości, poglądu nadindywidualnego i nadczasowego.

Mówiły o tem głosy przywódców trzeciego państwa, głoszą to broszury, zalewające uniwersytety, gmachy publiczne, dworce kolejowe — Norymbergji i Monachjum. Psuje to nieco wrażenie wędrowcowi, który przywykł szukać tam piękna, zaklętego po wiekach w gotyckich kościołach, gdzie jaśnieje dobrze g e n i u s z z n a n y i t a k b a r d z o l u d z k i Wita Stwosza i Dürera, albo odnajdował je w przecudnych zbiorach antycznych i nowożytnych w bardzo słonecznem u stóp Alp mieście Böcklina. Jakże dalekiemi wydają się czasy, gdy, tu przed wiekiem, wygłaszał swe proroctwa Schelling, ujmując w nich harmonję skończonego i nieskończonego, realnego i idealnego, indywidualnego i nieindywidualnego. Wtedy to było dość czytać w sobie, by odtworzyć boską dialektykę świata. Filozof odtwarza bowiem ideał boski w myśli, gdy artysta ustala go w formach zmysłowych.

Kościoły chrześcijańskie, świątynie wiedzy, zbiory dzieł sztuki mówią coś innego od tego, co zaleca urzędowa ideologja. Wszystko wydaje się jakby zgnębione poglądem, za którym stoi totalne państwo. Ono każe wierzyć, że jest tylko jeden kult, jeden pogląd, jedna grupa, by zwalczać liberalizm, klasowość, pacyfizm przeszłości. Czy jednak chrześcijaństwo, nauka, sztuka stały na takiem stanowisku? Czy przeczyły p r a w a

K. TORSKI, POZNAŃ

Problem władzy w Austrji

Austrją rządzi dziś dawna partja Chrześcijańsko - Społeczna. Wzorując się na Włoszech, wprowadziła ona w Austrji korporacyjny ustrój państwa. Ale nie w tem zagadnieniu ustrojowem ogniskuje się jej postawa zasadnicza. Jest to przedewszystkiem ugrupowanie, które za żadną cenę nie chce dopuścić do „anschlussu" z Niemcami. Za rządem obecnym w Austrji stoją więc nietylko ludzie o chrześcijańsko - społecznym poglądzie na świat, ale głównie wszyscy ci, których łączą tendencje anty-„anschlussowe".

Nic dziwnego, że kler austrjacki, z natury rzeczy stojący na czele ruchu chrześcijańsko - społecznego, nie ma wcale ochoty znaleść się w granicach hitlerowskich Niemiec.

Niedawno jeszcze mówiono, że Hitler niechętnie patrzałby na natychmiastowy „anschluss", bał się bowiem trudności wewnętrznych, związanych z ewentualnym, tak wielkim, wzrostem sił opozycji katolickiej w kraju. Dziś jednak wpływ obozu chrześcijańsko - społecznego ogranicza się do częściowego już tylko do oddziaływania na ludność chłopską.

Charakterystycznem jest, że drugą podporą rządu są żydzi. Jest to zupełnie zrozumiałe z dwóch powodów. Żydzi opanowali całkowicie życie gospodarcze Austrji i im jednym powodzi się dobrze wśród nędzy ludności rdzennie austrjackiej. Dlatego wszyscy żydzi, jak wszędzie, tak i tu, stoją za każdym rządem, byle nie zdecydowanie narodowym.

Przedewszystkiem zaś nikomu bardziej niż żydom nie zależy chyba na tem, żeby do „anschlussu" nie doszło. Nie mogą przecież dopuścić do zamiany Austrji, w której jest im bardzo dobrze na hitlerowskie Niemcy z prawami wyjątkowemi, przeciw nim skierowanemi.

Istnieje także czynnik zewnętrzny, który popiera rząd, będąc z nim w ścisłym kontakcie. Są nim Włochy, których reakcja na „anschluss" byłaby bezwątpienia bardzo ostra. To też cała polityka zagraniczna rządu austrjackiego opiera się na przyjaźni z Włochami.

Całe nieszczęście rządu leży w tem, że nie ma on za sobą wcale młodej inteligencji, oprócz żydowskiej. Prawie cała młodzież, inteligencja, ludność miejska, są w zdecydowanej opozycji. Dzielą się na komunistów, socjal - demokratów i narodowych socjalistów, którzy są obecnie bezwzględnie najsilniejszem ugrupowaniem w Austrji, obejmującem olbrzymią większość młodzieży. Ci prą gwałtownie do „anschlussu".

Są usposobieni nietylko antyrządowo, ale także i antypaństwowo, gdyż negują całkowicie sens istnienia państwa austrjackiego. Wypływa stąd stosowanie takich metod walki, jak nawoływanie do niepłacenia podatków, bojkot przedsiębiorstw i monopoli państwowych, a więc powstrzymywanie się od jazdy tramwajami, od palenia papierosów, stanowiących monopol państwowy itd.

Dążą oni z wszystkich sił nietylko do obalenia rządu, ale i do zawalenia się państwa austrjackiego. Jedyny to w swoim rodzaju wypadek podobnego postępowania narodowców w stosunku do własnego bądź co bądź państwa. Dużą siłę ma poczucie wspólności plemiennej — no i marzenia o potędze.

„Nazi", jak naturalnie z ich postawy ideowej wynika, są bezwzględnie wrogo ustosunkowani do żydów. „Signum temporis" jest, że prądy antysemickie panują już także wśród młodzieży socjalno - demokratycznej i komunistycznej. Budzi się bowiem wśród wszystkich grup społecznych świadomość prawdziwego oblicza żydowstwa, pasorzyta na narodach europejskich.

Wobec tego wszystkiego jasne jest, że rząd, nie będący wyrazem prądów panujących w Austrji, które w dodatku jak najostrzej przeciw niemu występują, musi być dyktaturą. To też zamiast zdania, że Austrją rządzi partja Chrześcijańsko - Społeczna, należy postawić twierdzenie, że Austrją trzęsą poseł włoski, Stahremberg i Schuschnigg, popierani przez żydów, nie mający większego oparcia w społeczeństwie austrjackiem, w oparciu natomiast o zorganizowaną siłę. Siłą tą jest armja zawodowa i niebywale liczne kadry policji.

Armja zawodowa jest bardzo dobrze płatna w stosunku do zarobków ludności. Po-

Piątym błędem był pierwszy franko - sowiecki projekt paktu wschodniego, który był opracowany wbrew woli gabinetu warszawskiego.

Zwracając uwagę na błędy polityki franc. prof. Donnadieu z drugiej strony stwierdza, że Warszawa wydaje się być zbyt drażliwa. Niemniej uważa, że obydwa zaprzyjaźnione kraje winny wzajemnie koordynować swoją inicjatywę polityczną zarówno gdy chodzi o Rosję jak i Niemcy. W podrozdziale — Polska, Anglja i Włochy przypomina autor wielkie szkody Lloyd - George'a, jakie on wyrządził Polsce w roku 1919, czyniąc z Gdańska wolne miasto i doprowadzając do plebiscytu na Górnym Śląsku. Stosunki obecnie uległy zmianie na lepsze.

Konkluzje zawierają stwierdzenia, że do złudzeń zaliczyć należy przypuszczenie, iż Niemcy zrzekną się swych pretensyj terytorjalnych na wschodzie, i że wobec tego te „nouvelles tendences“ polskiej polityki zagranicznej są tylko przejściowe.

Polska, wykazawszy swoją niezależność w polityce, a przytem będąc wielkim mocarstwem, wcześniej czy później wraz z Francją — „pourrout de nouveau servir ensemble les mêmes idéals, pour le triomphe des queis ilse trouvérent sisouvent rennis: les i déals de civilisation, de liberte et de paix“, kończy autor.

Całkowita słuszność wywodów prof. J. Donnadieu jest niewątpliwa. Punktem niejako kontrolnym jego przewidywań będzie wynik konferencji min. Edena z M. S. Z. w Warszawie, do której słusznie w polityce europejskiej przywiązuje się dużą wagę. Naszym życzeniem jest żeby wyniki te były jaknajlepsze dla Polski i Europy.

2 IV. 35. JAN RUS, POZNAŃ.

K. SUCHODĘBSKI, POZNAŃ

Angielska Biała Księga

Księgi barwne, nazywane od koloru okładki i dziś powszechnie przyjęte, są pochodzenia angielskiego. Na ich treść składają się różne dokumenty, szczególnie dyplomatyczne, przedkładane przez rząd zwykle parlamentowi, skąd przedostają się do szerokich mas. Księgi barwne są wyrazem demokratyzacji władzy, silnego związania międzynarodowego państw oraz wzrostu znaczenia opinji światowej.

Angielska Biała Księga (Anglicy zwykli używać koloru niebieskiego lub białego), ogłoszona w marcu br., narobiła w naszej prasie dużo huku, możnaby powiedzieć, w stosunku prostym do naszej niewiedzy o niej. Bo z licznych telegramów prasowych nikt właściwie się nie dowiedział, o co chodzi. W rzeczy samej, Księga dotyka stosunków międzynarodowych ubocznie, jest ich echem. Istotą jej jest nie co innego, jak uzasadnienie finansowych wniosków zbrojeniowych rządu brytyjskiego wobec westminsterskiego parlamentu. Że te wnioski oparto na obecnej sytuacji międzynarodowej, jest oczywistem. Szczególny nacisk w zbrojeniach angielskich położono na lotnictwo. Szermierzem zwielokrotnienia tej broni od dwóch prawie lat jest Baldwin. Z jego to ust padła jeszcze w czerwcu 1933 r. słynna formuła: „Nie zapominajmy nigdy, że od zjawienia się lotnictwa dawne granice nie istnieją więcej. Kiedy się myśli o obronie Anglji, ma się na uwadze już nie kredowe wybrzeża Doveru, lecz Ren.“

Przeniesiono więc strategiczne granice Anglji z wybrzeża, nad Ren. Że tu mowa o Niemczech, nie trzeba chyba dowodzić.

Biała Księga (w oryginale: Statement relating to defence — z datą 1 marca 1935 i inicjałami Mac Donalda) ujmuje uzasadnienie zwiększonych wydatków zbrojeniowych Anglji w 28 punktach.

Rzecz zaczyna się omówieniem angielskiej polityki zagranicznej i stwierdzeniem, że jej naczelnem zadaniem jest utrzymanie pokoju. Anglja uczyniła w ostatnich latach szereg wysiłków, by rzucić trwałe podstawy pod pokój światowy. Udzielono więc stałego poparcia Lidze Narodów, jako instytucji współpracy międzynarodowej. Dla zapewnienia wzajemnego bezpieczeństwa państw stworzono szereg narzędzi międzynarodowych, jak pakt Brianda - Kelloga z 1928 r. o wyrzeczeniu się wojny, jak pakt czterech na Oceanie Spokojnym i umowa dziewięciu mocarstw Dalekiego Wschodu. Zawarto pakt locarneński o gwarancjach wzajemnych, zabezpieczający pokój na zachodzie Europy. Ostatnim przejawem tego paktu jest deklaracja francusko - angielska z 3 lutego 1935 r., proponująca zawarcie wzajemnych i regjonalnych umów o nieagresji lotniczej. Anglja próbowała szeregiem inicjatyw zapewnić bezpieczeństwo w Europie wschodniej i Zagłębiu naddunajskiem, szczególnie jeśli chodzi o utrzymanie niepodległości Austrji. Swemu głównemu celowi dała polityka angielska także wyraz wobec Niemiec, przeprowadzając zniesienie sankcji traktatu wersalskiego, przyjęcie Niemiec do Ligi Narodów, wcześniejszą o 5 lat ewakuację Nadrenji, lozańskie uregulowanie odszkodowań wojennych w 1932 r., plebiscyt saarski. Anglja weszła na drogę ograniczenia zbrojeń, zawierając traktat waszynktoński (1922) i morski londyński (1930), oraz wybitnie się przyczyniając do zwołania konferencji rozbrojeniowej w 1932 r. (Henderson). Z temi wszystkiemi wysiłkami na polu dyplomatycznem szła równolegle — świadczy Biała Księga — i pewna tendencja w polityce zbrojeniowej, ta mianowicie, że od roku 1919 ciągle odraczano stworzenie takiej siły lotniczej, któraby odpowiadała rozwojowi kontynentalnych potęg lotniczych.

Wobec wycofania się Niemiec i Japonji z konferencji rozbrojeniowej, skazanej na zagładę, i wzrostu sił zbrojnych wszystkich mocarstw, braki w systemie obronnym Anglji, szczególnie co do zapewnienia komunikacyj morskich, środków żywności i obrony przeciwlotniczej, wystąpiły w całej pełni. Wzrost zbrojeń zaznaczył się w wielu państwach, w Rosji, Japonji, Stanach Zjednoczonych, a szczególnie w Niemczech. Prace niemieckie bardzo zaniepokoiły Anglję. Obawa to wcale uzasadniona, Wystarczy przywieść na pamięć wzrost budżetów lotniczych Niemiec. Wygląda on ni mniej ni więcej, tylko tak: w r. 1932/33 — 43¼ milj. mk., w r. 1933/34 — 78 milj. mk., w r. 1934/35 — 210 milj. mk. Sapienti sat! Wobec tak miłego stanu rzeczy rząd brytyjski ogłosił jeszcze w listopadzie 1934 r. przyśpieszenie własn. zbrojeń lotniczych. Nie zaniechał jednak równoczesnej akcji dyplomatycznej wobec Niemiec, stąd uzyskał oświadczenie o szczerej woli zachowania pokoju, co przyjął z zadowoleniem.

Wiadomo, że to wyraźne, niecodzienne w stosunkach międzynarodowych wskazanie Niemiec, jako grających podstawową rolę w przelewającej się fali zbrojeniowej, przez Białą Księgę było przyjęte w Rzeszy bardzo nieprzychylnie i spowodowało odroczenie berlińskiej wizyty ministrów brtyjskich na koniec marca br. Zrozumieć łatwo oburzenie Niemiec, które mogły w Księdze tak czytać o sobie expressis verbis:

„Wydaje się jednak niemożliwem nie uznać, że nietylko siły, będące w grze, lecz i duch, w którym dokonywa się organizacja ludności, a szczególnie młodzieży, czyni prawdopodobnem pojawienie się i usprawiedliwia ogólne poczucie niepewności“. Tak wyraźny język pojawia się w rzadkich chwilach.

Na tych wszystkich danych oparł się rząd brytyjski, przystępując do zwiększenia zbrojeń we wszystkich dziedzinach. Nasamprzód więc zatroszczono się o samą podstawę całego systemu obronnego Imperjum brytyjskiego, którą jest bezpieczeństwo przewozu morskiego. Tego bezpieczeństwa przed detaszowanemi jednostkami przeciwnika dziś już nie zapewnia Grand Fleet, podstawa angielskiej strategji morskiej. Stąd szereg wniosków o budowę specjalnych jednostek marynarki wojennej. Stąd też organizacja obrony przeciwlotniczej na okrętach handlowych. Wobec zaś zagrożenia lądu angielskiego z powietrza — znów szereg prac w zakresie wojsk lądowych (obrona portów, składów wojennych i wybrzeża, obrona przeciwlotnicza) i powietrznych (zwiększenie ilości i różnolitości jednostek). W tych ostatnich jest interesującem stworzenie obok brygad lotniczych Bliskiego Wschodu, Indyj i Dalekiego Wschodu odrębnych jednostek lotniczych, któreby mogły być użyte w dowolnym punkcie świata.

Krótko więc, Anglja wzmaga swe zbrojenia, wychodząc — mówi Biała Księga — z założenia, że, jak dotąd, jedynym środkiem, wstrzymującym uzbrojonego przeciwnika wydaje się posiadanie dostatecznych środków przeciwataku. Że te zbrojenia nie mogą być połowiczne — czyta się gdzieindziej: „Obrona nieskuteczna nietylko jest rozrzutnictwem, lecz klęską“. Poco John Bull się zbroi? Dla obrony pokoju, utrzymania bezpieczeństwa i pozbawienia napastnika chęci napadu — odpowiada Księga.

Znaczenie jej nie leży w echach dyplomatycznych, jak to przedstawiono nieudolnie w naszej prasie. Istotą jest uzasadnienie wkroczenia Anglji na niebezpieczną drogę wyścigu zbrojeń. Dlaczego o tem nie powidziano u nas? Właśnie u nas, gdzie rząd tak jasnym i każdemu zrozumiałym komunikatem wytłumaczył społeczeństwu swój stosunek do niemieckich zbrojeń: „Ambasador Rzplitej w Berlinie zakomunikował Ministrowi Spraw Zagranicznych Rzeszy poglądy rządu polskiego na sytuację międzynarodową, wytworzoną ogłoszeniem przez rząd niemiecki ustawy z 16 marca 1935“. Stop! Każdy więc już wie, jakie są poglądy naszego rządu, choćby taką żywił niechęć do polityki zagranicznej, jak marginesowy publicysta „Prosto z mostu“.

Tak czy inaczej, wydawało się jednak pożytecznem o treści Białej Księgi powiedzieć słów kilka możliwie jasno.

sko-norymberskich

własności, aprobowały walkę klas, sławiły indywidualizm? Nie głosiły nigdy religji nadludzi, choć godziły się i godzą na pogląd, że każdy system musi, by zwyciężyć, mieć za sobą wolę tych, co go głoszą. Nie brakło też nigdy męczenników chrześcijaństwa, nauki i sztuki.



Niemka rasy nordyckiej.

A już najmniej harmonizuje z ideologją hitleryzmu polska ideologja, która potępia gwałt, a zaleca porozumienie piórem Włodkowica, staje w obronie tolerancji przez wskazania Frycza, wynosi wysoko humanitaryzm w dziełach i czynach Staszica, zaleca ewolucję a nie rewolucję głosem Kłosińskiego. Nie wątpi ona, że krew i charakter, rasa i dusza są z sobą w związku, co każe jej bronić czystości rasy nie paragrafami, ale słowem idącem od człowieka do człowieka. Polski nacjonalizm odwołuje się też do rasy, którą wytworzyła polska szlachta, dając narodowi rasową sztukę Kochanowskiego, Krasińskiego, Mickiewicza, Fredy, Prusa, Sienkiewicza, ale do r a s y s ł o w i a ń s k i e j, której groził i zawsze grozi zachłanny germanizm. Umiał się on bronić przed wszelkimi wpływami, rozkładającymi jedność, jak reformacja ewangelików, spekulacja metafizyków, dekadentyzm snobów, by przeciwstawiać i dziś umiar łaciński romantyzmowi, co przyszedł jako następstwo klęski.

Wierzyć chce i dziś w nasze wartości, idące za głosem narodowego sumienia, a nie doktryny. I ono, jak uratowało go od komunizmu, tego owocu powojennego chaosu, tak uratuje go i od inwazji pojęć, co przeczą najwyższym, narodowym wartościom. Współczesna generacja kulminuje w typie, który właśnie o nie się opiera, czyli o narodową związaną ze słowiańskością rasę, o porozumienie, o tolerancję, o humanitaryzm, o ewolucję. Na tych wartościach ustala się to, co nazywa się narodowym honorem. Zwyciężały one w przeszłości, kiedy to zachód wielkopolski ustępował przewagi południu małopolskiemu, by z kolei zasilić się żywiołami wschodnimi, a zawsze wytwarzać **jedną polską rasę.** Była ona i będzie syntezą szczepów czysto polskich z domieszką ruskich, syntezą dającą czynnik o roli doniosłej dla kultury zachodu, czynnik wyrosły w słońcu romanizmu a nie bizantynizmu lub mitów germańskich.

części w tem także tkwi tajemnica jej wierności. Rząd stara się mieć jak najwięcej wojska pod ręką, liczne pułki są więc zakwaterowane w Wiedniu, jeden nawet w suterynach ministerstwa wojny.

Można być spokojnym, że mimo pewnych tendencyj ludności chłopskiej, rząd austrjacki nie pójdzie śladem Niemiec i nie wprowadzi powszechnego obowiązku służby wojskowej. Byłoby to dla niego samobójstwem. Z jednej strony straciłby bowiem swą główną podporę, z drugiej dałby broń do ręki swym przeciwnikom.

Policji jest niebywała ilość. Wystarczy przejść się ulicami Wiednia, by się o tem przekonać.

Policja i wojsko otaczają wszystkie gmachy rządowe, a w środku ustawione są karabiny maszynowe, gotowe do strzału.

Nacisk na ludność jest bezprzykładny. Wszyscy muszą należeć do „Vaterländische Front“, jeżeli chcą otrzymać jakąkolwiek pracę. Kupcom np. nie wolno zatrudniać sprzedawczyń, do „Vaterländische Front“ nie należących.

Młodzież, jako element najbardziej buntowniczy, jest specjalnie „pod opieką“. Na uniwersytecie wiedeńskim stoją w środku całe grupy policjantów. Samorząd stowarzyszeń akademickich jest zupełnie zniesiony. „Bratnią Pomocą“ administrują urzędnicy. Na porządku dziennym są fakty przetrzymywania ludzi w więzieniach bez rozprawy sądowej. Ludność żyje w nędzy i bardzo ciężko ją znosi, skala bowiem jej potrzeb jest bardzo wielka. Rząd zaś nie może zaradzić fatalnemu położeniu gospodarczemu Austrji, co wzmacnia jeszcze nieprzyjazne nastroje ludności.

Stan powyżej przedstawiony, typowego państwa policyjnego, długo utrzymać się nie da. Obecna opozycja jest bowiem bardzo silna liczebnie, a przedewszystkiem ma mit, który porywa masy, każe wierzyć w zwycięstwo i poprowadzi je do czynu.

Rząd natomiast nie ma idei, którąby mógł porwać społeczeństwo. Jeżeli rząd będzie trwał nadal przy dotychczasowej swej polityce utrzymywania się tylko siłą przy władzy, a nie obejrzy się za jakąś ideą, któraby przemówiła do narodu, sytuacja obecna może się dlań skończyć w niedługim czasie bardzo niewesoło, zwłaszcza dlatego, że dużo już krwi polało się w Austrji ...

Czy rząd będzie usiłował restaurować Habsburgów, szukając osłony dla swej polityki w majestacie korony. albo kompromisu z obecną opozycją w monarchji narodowej, czy też znajdzie jakąś inną ideę i pomyślne dla siebie wyjście z obecnej sytuacji — niewiadomo.

Polska jednakże musi się poważnie liczyć z możliwością niedalekiego zwycięstwa narodowego socjalizmu w Austrji. Oznaczałoby to w zamierzeniach „nazi“ natychmiastowy „anschluss“. Pamiętać jednak należy, że „anschluss“ ma wrogów nietylko wewnątrz Austrji, ale we wszystkich państwach, którym potęga germańska zagraża, a więc we wszystkich prawie sąsiadach Niemiec i Austrji, a dalej, że formalny „anschluss“ może narazie samym Niemcom nie być na rękę.

Nie trzeba chyba zaznaczać, że po objęciu Saary, po złamaniu traktatu wersalskiego i po ewentualnym „anschlussie“, czy też przeobrażeniu Austrji, co na jedno wyjdzie, na calkowicie zależne od Niemiec państwo narodowo - socjalistyczne, dalszym logicznym krokiem imperjalizmu Niemiec będzie zupełnie już wtedy otwarty i bezpośredni „Drang nach Osten“. Poliytka polska musi już dziś dokładnie sobie z tego zdawać sprawę.



Reprodukcja z niemieckiego czasopisma „Der Stürmer“, wychodzącego w Norymberdze. Redakcja tego pisma umieściła pod reprodukcją bardzo znamienny i wiele mówiący napis: „Aus diesem Gesichte spricht Judaes Geschichte“.

STEFAN SOBAŃSKI, POZNAŃ

Nieśmiertelne idee Al. Świętochowskiego

(Dokończenie).

„Poddanka" i „Błazen", dwa jednakowe utwory, są tego dowodem. Obejmuje w nich wprawdzie tylko ustrój społeczny, oparty na pozornej wolności, a faktycznej niewoli, ale sposobem tak świetnym, jak rzadko który z pisarzy zajmujących się tym problemem.

„Poddanka" zaznajamia nas z zagadnieniem niewoli chłopskiej. Kamienuje tu szlachtę polską za jej największy grzech, którego się dopuściła. Wykazuje zgodnie z prawdą dziejową ten haniebnie o niej świadczący fakt, że obrony swych praw doczekał się chłop polski nie od niej, ale od obcych, dzięki konstytucji Napoleona, która zmieniła kastowy ustrój Polski jednem postanowieniem „wszyscy są równi wobec prawa: poddaństwo się znosi". „Poddanka", pisze Wroczyński, jest nietylko obrazem z życia ludu polskiego w pewnym okresie dziejów, ale przedewszystkiem utworem, poświęconym rozstrząsaniu idei, którą Świętochowski odmierzał dzieje i postęp socjalny.

W wolnej Rzeczypospolitej nietylko lud cierpiał niewolę. Cierpiał ją również szlachcic, mający dla obrony swych przywilejów tylko rodowe pergaminy. Kpił z nich ten co m i a ł s i ł ę. Trybunał był do wynajęcia dla możnych panów. Stosunki owej anarchji i b e z p r a w i a znajdują wymowną ilustrację w „Błaźnie". Szlachcic Pielesz, człowiek prawy i dbający o swą godność, jest taką samą ofiarą fatalnych krzywd ustroju społecznego, jak Kazimiera z „Poddanki". Oboje są bezbronni wobec przemocy i nie znajdują opieki w społeczeństwie. — Pielesz i Kazimiera są to postacie z warstw społecznych różnych, ale obdarzone zostały jednaką miarą sympatji przez Świętochowskiego z powodu wspólności zasadniczej: pokrzywdzenia przez ludzi moralnie niższych i przez stosunki współżycia, sankcjonujące tyraństwo .

Świętochowski zdobył sobie z pewnością większą zasługą jako miłośnik prawdy, zdzierając maskę z oblicza dawnej Polski, niż ci, którzy nazywają go za to ptakiem kalającym własne gniazdo

Ostatni rozdział cz. II. zatytułował Wroczyński „Prometeusze" i stwierdza, że tragedja Prometeusza, straciwszy już dawno charakter religijnego mitu, zachowała tylko wartość artystyczną ujęcia dramatu, jaki przeżywa człowiek na ziemi! Bo czemże jest dla nas Prometeusz — pisze — jak nie uosobieniem tych ofiarnych jednostek, które pragną wyzwolić miljony skrzywdzonych i cierpiących — praojcem męczenników, którzy, walcząc z przesądem w imię szczęścia ludzkości, pasmami niezasłużonych cierpień okupywać muszą odkryte prawdy, — symbolem ludzi palonych na stosie i prześladowanych za przekonania.

Na tle tych prometejskich wysiłków człowieka osnuł Świętochowski dramat pt.: „Aspazja" Świętochowski jest zawsze obrońcą i piewcą potężnych jednostek, duchów wyższych, tytanów czynu, myśli i energji Z kultem wielkich ludzi, ludzi — bohaterów wiązał nierozerwalnie kult wielkich idei. W „Aspazji" cofa się w wiek Peryklesa i rysuje analogję do czasów współczesnych. Perykles — bojownik o prawa demokracji i głębokich przeobrażeń społecznych — symbolizuje wraz z Aspazją i całem otoczeniem wysiłek ludzi wyjątkowych, szlachetnych, genjalnych, którzy, idąc za popędem serca i rozumu, pragną realizować szczęście człowieka na ziemi. Sofokles, Anaksagoras, Protagoras, Sokrates, Eurypides, Fidjasz — całe to czcigodne grono najwyższych genjuszów starożytnej Grecji jednoczy się w dążeniu do prawdy i szczęścia człowieka. Celem ich jest walka z przesądami społecznemi i z ustrojem stanowym.

Z walką o wyzwolenie jednostki z pod przewagi przesądów stanowych wiąże się ściśle sprawa emancypacji kobiety. Grono kobiet pod przewodn. Aspazji stawia dumnie czoło tradycyjnemu ograniczaniu kobiet w życiowych prawach. Ludzie z „Aspazji" obejmują również sferę zagadnień naukowych. Wierzą w siłę ludzkiego rozumu i mają dla niego kult najwyższy, choć to ich prowadzi nieraz do bolesnej kolizji z uczuciem i wymogami serca. Świętochowski chciał przez to wskazać na ważność elementów irracjonalnych, niedających się ująć w kategorjach materjalistycznego pojmowania świata.

Z „Aspazją" łączy się najściślej wspólną koncepcją ideową jednoaktowy dramat „Za maską" osnuty na tle walki myśli niezależnej z wstecznictwem. O ile „Aspazja" ilustruje problemy podjęte przez pozytywistów warszawskich, o tyle w dramacie „Za maską" schodzi Świętochowski na teren stosunków krakowskich po 63 r., dając upust swej niechęci do dzielnicy, kóra była główną ostoją konserwatyzmu.

Świętochowski patrzy głęboko w życie — pisze w „Próbie syntezy" Wroczyński — i poważnie je przedstawia, bo nosi w swem sercu szlachetny ideał moralny. To zaś go sprowadza na teren 2 zjawisk: natury człowieka i ustroju społecznego, które oświetla na tle kierowniczej idei umysłowej II. poł. XIX w. — ewolucjonizmu. Ten ewolucjonizm łączy nadto z naukowem uzasadnieniem indywidualizmu.

Na tle prawdy, której się dowiedział o człowieku z nauk przyrodniczych zaczyna go nie sądzić, lecz tłomaczyć i rozumieć; widzi bowiem w człowieku nietylko twórcę czynu, ale zarazem produkt. A jeśli tak jest —



komplikuje się kwestja odpowiedzialności! Autor „Duchów" poczuł się duchowo bliskim walczącemu o swobodę człowiekowi — i oto już teren podstawowego problemu dramatów społecznych: ż ą d a n i a p r a w a c z ł o w i e c z e ń s t w a d l a w s z y s t k i c h, swobody jednostkowej, wolnego i autonomicznego sumienia, co było praktycznym wpływem filozofji ewolucjonizmu.

Wyciągnąwszy z idei filozoficznych konsekwencje praktyczne walczył niezmordowanie w obronie praw i wolności jednostki i w namiętnych słowach protestował przeciw ciemięstwu i despotyzmowi w wszelkich postaciach. Stąd wypływa cała jego działalność publicystyczno - społeczna i dwa przewodnie motywy twórczości dramatycznej: apoteoza człowieka niezłomnego i okazania jego stosunku do społeczeństwa, oraz zajęcie się liczną rzeszą pokrzywdzonych wskutek instytucji niewolnictwa, poddaństwa czy też nowożytnego Molocha — wszechwładnego kapitalizmu, dla którego moralnym kośćcem, prawodawcą i sędzią jest zysk!!

O rozwój demokracji walczył z taką samą siłą swej niepospolitej indywidualności, z jaką walczył o prawdę myśli, o etykę ludzkich czynów, o postęp. Wrogiem był jedynie równości mechanicznej, jaką głosiły wówczas modne prądy społeczne. Z w a l c z a w s z y s t k i e k o n c e p c j e, u s u w a j ą c e z e s w y c h p r o g r a m ó w p o j ę c i e n a r o d u. Świętochowski jest — według Grzymały Siedleckiego — elitarystą odmierzającym dzieje ludzkości miarą jednostek wybranych, dzięki którym człowiek przestaje być ziarnkiem piasku, mierzonym masą.

Drugim naczelnym motywem tej twórczości dramatycznej, to zagadnienie społecznej krzywdy i nędzy. Wypłynął on również bezpośrednio z filozofji ewolucjonizmu oraz z szlachetnego współczucia dla uciskanych. Świętochowski nie wskazuje jednak sposobu rozwiązania „kwestji społecznej". Bo i jakież jej rozwiązanie mógł dać wielki — indywidualista, który nie wierzył w możność socjalistycznego raju, w udoskonalenie stosunków współżycia drogą nagłych rewolucyjnych przemian. Reprezentuje on typ reformatora obyczajów — rozumowy, uzależniający postęp etyczny od stopnia rozwoju umysłowego, a nie typ normatywny, wierzący w udoskonalenie stosunków drogą oddziaływań mechanicznych. Propaguje ideał moralny — ten sam, który wypowiedział Mickiewicz w słowach: „O ile polepszycie i powiększycie duszę waszą, o tyle polepszycie prawa wasze i powiększycie granice wasze".

A jakiż był stosunek tego ideału do życia? Pomimo ponurego poglądu na teraźniejszość trwa Świętochowski niezachwianie w wierze w ostateczny postęp społeczny ludzkości. — „Zanim on jednak nadejdzie" — pisze w „Źródłach moralności" — długo jeszcze ludzkość będzie kuła kajdany i wędzidła dla skrępowania i okiełznania złej i dzikiej samowoli człowieka".

Pracę Wroczyńskiego zamyka cz. III. pt. „Dramaty Świętochowskiego jako zwierciadło prądów umysłowych i społecznych epoki". W istocie — dramaty jego są silnie zrośnięte z chwilą, w której powstały, a nieraz wyrażają ją również wymownie, jak najbardziej bojowe artykuły publicystyczne. Piętno epoki nadaje im myśl, koncepcja ideowa.

Wyznawcy pozytywizmu głosili, że treścią literatury powinna być zawsze myśl czasu, która właśnie społeczeństwo zajmuje, a bystrzejsza źrenica talentu powinna tę myśl należycie sformułować, i do jej rozwiązania możliwie drogi wskazać. Słowem, żądano od literatury utylitaryzmu, służenia dobru społecznemu. Oczywiście logiczną tegoż konsekwencją było zaliczenie artystów do pracowników społecznych i żądanie, by zajęli się pogłębianiem swej wiedzy o społeczeństwie. Z tej zasadniczej cechy pozytywizmu, rewindykacji problemów społecznych, wyrosła przeważna część koncepcyj dramatów Świętochowskiego. W jednych występują zagadnienia społeczne całkiem bezpośrednio, w innych przyoblekają formę znamienną dla czasów, w których kwestje aktualne trzeba było przenosić w odległe epoki, chcąc uniknąć cenzorskiego ołówka.

Dążność pozytywizmu, streszczająca się w haśle bezwzględnej walki z przeżytkami stanowemi, swobody społecznej i indywidualnej, oraz w usiłowanich organicznego zespolenia wszystkich warst dla skuteczniejszego osiągania celów zbiorowych, przenika wszystkie społeczne dramaty Świętochowskiego, słusznie nazwanego genjalnym malarzem swej epoki. Dążności społeczne były taką samą potrzebą jego umysłu, jak walka z nałogami myślenia i poddaństwa zbiorowej opinji. A wszystkie te problemy, niepokojące co najszlachetniejsze jednostki owego czasu — oświetlał jasno i wielostronnie pod szerokim kątem widzenia, z zawziętością i zapałem, odznaczając się w wykonaniu oryginalnością, ostrym dowcipem, świetnym stylem, śmiałością w wypowiadaniu swego zdania i myśli często paradoksalnych, i niezrównanym pod względem djalektycznej ciętości — djalogiem. Aleksander Świętochowski, wódz naczelny polskiego pozytywizmu, dobrze zasłużył się krajowi. .

Z wielkim zadowoleniem czyta się pracę Wroczyńskiego, który wnikając z znawstwem w idee dramatów znakomitego pozytywisty, przysłużył się ogromnie rozszerzeniu i pogłębieniu naszej wiedzy o nim, dotąd bardzo ogólnikowej i niedostatecznej. Ukazał nam na czem polega wielkość i zasługa Świętochłowskiego i te rozległe tereny, kóre obejmował jego twórczy duch, wciąż zajęty problemami, obchodzącemi ludzkość całą, a zwłaszcza współrodaków i kraj w niewolę zakuty. Z pracy tej poznajemy nietylko idee i prawdy wiecznie żywe, zaklęte w jego dramatach, ale dowiadujemy się o jego programie, obejmującym reformę całego życia polskiego, nie wyłączając jego etyczno - moralnych podstaw.

Wszystkie idee, które przewodziły pracy Świętochowskiego zostały uwzględnione w sposób wyczerpujący, a ciekawy, według ściśle określonego planu.

Czemu pominął autor w swych rozważaniach „Duchy", dowiadujemy się o tem ze „Wstępu" — „Duchy" — pisze „należą chronologicznie do epoki następnej, neoromantycznej, a formą i treścią odcinają się od pozostały utworów dramatycznych, zasługują na osobne opracowanie". Jeśli zaś rozpatruje tylko „idee dramatów", a nie idee całej twórczości, to mojem zdaniem z tego względu, że właśnie w dramatach, które są syntezą myśli i poglądów Świętochowskiego, znalazły wszystkie jego idee najlepszy wyraz, dając tem samem najlepszą sylwetkę duchową ich autora. A sylwetkę tę odmalował Wroczyński z całem entuzjazmem, w barwach jasnych i sprawiedliwych, które muszą budzić u czytelnika tylko serdeczną sympatję i podziw głęboki dla sędziwego już dziś pisarza. Powinny również zachęcić wielu do większego i bliższego zajęcia się twórczością tego, którego hasłem naczelnem, niezmordowanie od lat kilkudziesięciu głoszonem, jest „niech będzie pochwalona prawda, swoboda przekonań, sprawiedliwość, nauka i tolerancja".

Wroczyński przedstawił nam Świętochowskiego na tle jego dramatów nietylko jako prawego człowieka, szlachetnego Polaka, ale przedewszystkiem jako genjalnego literata i publicystę. Staje w jego obronie z ogromnem zasobem argumentów, któremi burzy fałszywe legendy, jakie złość i głupota ludzka osnuły około postaci Posła Prawdy. Broni go więc przed zarzutem wrogiego ustosunkowania się do sprawy odzyskania narodowego bytu i popiera licznemi cytatami swój dowód na to, że Świętochowski był z krwi i kości patrjotą wielkim, objawiającym jednak swoją miłość do ojczyzny nie w pustem gadaniu i wiecowej krzykliwości, ale w pracy rzetelnej i zbawiennej nad odbudową serc i umysłów współrodaków, która najpewniej wieść ich miała do wolności. Przypomina się tu patrjotyzm Kasprowicza, u którego słowo ojczyzna też rzadko na ustach bywało.

Broni także Świętochowskiego przed zarzutem antyklerykała, który pewne koła, utażsamiające walkę z wadami kleru z antyklеryzmem, zwykły mu stawiać. Wykazuje dalej nieprawdziwość innej legendy, mianowicie o rzekomym braku serca u Świętochowskiego, życiu nawskroś i jedynie mózgiem, intelektem, zimną i bezlitosną logiką czystego rozumu. Zarzut to zupełnie powierzchowny. Jak bardzo bowiem Świętochowski kochał człowieka, współczuł serdecznie z biedą i cierpieniami najlepiej przekonują jego dramaty, w których uczucie wyrasta wprost ponad pospolitą miarę, kryjąc zawsze na dnie swym potężne pragnienie czynu i nieśmiertelną ideę.

Praca Wroczyńskiego powinna się wreszcie przyczynić do należytego patrzenia na prometejską postać autora „Duchów". Zaleca się ta praca nietylko przebogatą treścią, ale i formą dobrą, językiem jasnym, potoczystym i nie nużącym. Nie jest przeładowana zbędnym balastem naukowym; cytaty użyte w odpowiednich miejscach ilustrują doskonale słowa autora. Dodatnią jej stroną są również krótkie streszczenia poszczególnych dramatów, a nawet pewne ich części przytoczone in extenso, oraz obszerny, szczegółowy spis treści podany na początku pracy. Szata graficzna dogadza także smakowi estetycznemu czytelnika.

Reasumując, trzeba stwierdzić, że Wroczyński zadał sobie trud rzetelny, a serdeczny, aby spopularyzować i uwypuklić wartość idei twórcy „Nieśmiertelnych dusz".

Warto więc zaznajomić się z jego pracą*), w której entuzjazm i kryterja objektywne stapiają się w harmonijną całość, wyrażającą hołd i uwielbienie dla Wielkiego Pozytywisty i Myśliciela, którego poznać i pokochać powinni przedewszystkiem ci, co myślą i czują szczeropolskimi kategorjami. Tego wymaga wdzięczność, na którą stokrotnie zasłużył Aleksander Świętochowski!

*) „Idea dramatów Al. Świętochowskiego — na tle Pozytywizmu Warszawskiego", — nap. Ryszard Wroczyński. — Stron 134 — form. 8⁰. — Kraków, 1934. — Wyd. w cyklu Prac Histor. - Literackich z zasiłku Koła Miłośników Historji, Literatury i Sztuki w Białymstoku.

Ś.p. prof. Jan Rozwadowski

Dnia 18 marca złożono do grobowca na cmentarzu rakowickim w Krakowie ciało prof. Uniw. Jag. dra Jana Michała Rozwadowskiego, zmarłego nagle w Warszawie, dokąd wyjechał z filozoficznym odczytem. Na żałobnej uroczystości zebrały się masy powag naukowych, kulturalnych, teologicznych i studentów. Żegnano wielkiego człowieka.

Prof. Rozwadowski był głośnym na całą Europę językoznawcą. Studjował w Krakowie i Lipsku i wnet słynnemi pracami nad językami słowiańskiemi, bałtyckiemi, celtyckiemi, irańskiemi, a nadewszystko nad indoeuropejszczyzną, zdobył sobie miejsce na Uniwersytecie Jagiellońskim, członkostwo najwyższych akademij świata (w Pol. Akad. Umiej.), a przedewszystkiem miejsce na najwyższym Olympie wiedzy.

Prof. Rozwadowski sięgnął tak wnikliwie w głąb prawideł ludzkiej mowy, że ze zdumiewającą swobodą obracał się w labiryncie prastarej i ogromnej rodziny języków aryjskich, a nawet odczytywał i rozwijał tajemnicze węzły języków niezbadanych.

W czterdziestolecie jego pracy naukowej wydano „Symbolae grammaticae in honorem Joannis Rozwadowski", zbiorową księgę prac najznakomitszych powag naukowych świata, świadczącą o uznaniu polskiego uczonego zagranicą. W księdze tej zanotowano 142 pozycje bibljograficzne, samemi tytułami świadczące o ogromie nauki prof. Rozwadowskiego, a sięgają one tylko po rok 1926 i z pewnością nie są wszystkiemi.

Ale prof. Rozwadowski nie był tylko językoznawcą. Rozpoczęła się jego sława od pracy literackiej i krytycznej (o czem wspomniał w mowie pogrzebowej prezes P. Ak. Um. prof. Wróblewski); prof. Rozwadowski pisywał w pismach krakowskich w latach osiemdziesiątych ub. wieku poezje, nowele i rozprawy krytyczne („o Mickiewiczu i Krasińskim") pod pseudonimem „Nadroj" (odwrócony jego herb: Jordan). Przez całe życie, we wszystkich szczegółach swej pracy był głębokim, zadumanym myślicielem. Uważał językoznawstwo za dzieło mądrości ludzkiej i w niem szukał prawd i dróg życia. Wyznał to w czasie głębokiego odczytu o „wartościach studjum języka" z okazji dyskusji nad przebudową polonistyki w krak. T-wie Miłośników Języka Polskiego. Od postaci prof. Rozwadowskiego biła dostojna, patriarchalna powaga.

Zostawił żywy testament. Jest to krótki artykuł w zbiorowej księdze profesorów p. t. „W obronie wolności szkół akademickich". Nową ustawę akademicką nazywa tam czcigodny uczony ustawą „na powrozie". Zapytuje, dlaczego rządzący dziś Polską ludzie uważają się za nieomylnych? Wszak idą oni za hasłami tych, którzy depcą przeszłość. „Powtorne jakieś zaślepienie! Bo i cóż zostanie ludziom, którzy zapierają się i odrzucają całą długą, cudna i straszną spuściznę swoich ludzkich przodków? Chyba tylko jedno ciemne: Nic". *J. BIELATOWICZ, Kraków.*

STANISŁAW CELICHOWSKI, POZNAŃ

WYPRAWA ZBĄSZYŃSKA

Wspomnienia uczestnika

4

Teraz i kompanja kórnicka, przeczekawszy jeszcze chwilę, odmaszerowała do Łomnicy. Tu spotkała nas jeszcze miła niespodzianka. Przed wsią czekała na nas kapela kompanji opalenickiej i z muzyką wkroczyliśmy około południa do wsi.

Atak na Zbąszyń się skończył, skończył się mimo bohaterskich wysiłków naszą klęską. Oddziały, które miały zająć miasto Zbąszyń od południa, zastały i tu Niemców dobrze przygotowanych i nie posunęły się naprzód. Oddziały które miały obejść Zbąszyń od zachodu zaś, pobłądziły i wogóle nie wzięły udziału w akcji. Jedynie kompanja jarocińska, mimo ciężkiego ognia kulomiotów, miotaczy min i artylerji wykonała wzdłuż toru kolejowego bohatersko swój atak i nie wiele brakło, a byłaby sama most kolejowy sforsowała. Lecz, mając przeciwko sobie główne siły niemieckie, i nie odciążona atakiem innych oddziałów, musiała się cofnąć, ponosząc ciężkie straty, między innemi opłakując śmierci adjutanta baonu jarocińskiego, Malinowskiego. Ile wynosiły wszystkie nasze straty, nie wiem.

Podawano je na 100 zabitych i rannych, co nie uważam za przesadzone, zważywszy zaciętość i długotrwałość walki. Kompanja kórnicka miała 3 zabitych i 5 rannych, komp. śremska, która w walce udziału prawie że nie brała 1 zaginionego, Jurgę, który prawdopodobnie poległ nad torem. Znacznie cięższe straty były kompanji jarocińskiej, a przedewszystkiem kompanji opalenickiej.

Bitwa z dnia 11 stycznia 1919 r. pod Zbąszyniem, gdyby się była udała, byłaby nam otworzyła wrota na zachód i wskutkach swych politycznych niewątpliwie przysunęła w traktacie pokojowym granice Polski dalej na zachód ku granicom Brandenburgji.

Przegrana zadecydowała o utracie ziem częściowo czystopolskich na zachód Zbąszynia. Późniejsze bohaterskie walki w kierunku na Babimost straty tej nie wyrównały.

IV. Nastroje i działania po ataku na Zbąszyń.

Po krwawych zapasach z 11 stycznia nastąpił chwilowo spokój. Oddziały naogół narazie nie patrzały zbyt tragicznie na przegraną bitwę. Skutków jej na przyszłość nikt nie mógł przewidzieć, straty zaś nie były cięższe, jak zgóry idąc do walki przewidywano, a żołnierz był zadowolony ze siebie, w poczuciu, że spełnił swój obowiązek i dał ze siebie wszystko, co mógł. Jedynie kompanję jarocińską, która przez odjazd Gorzeńskiego i śmierć adjutanta została osieroconą, wycofano z nieprzyjemnych i niebezpiecznych pozycji w Nowym Dworze na dobrze zasłużony odpoczynek do Łomnicy, zastępując ją kompanją opalenicką, którą poddano dowództwu baonu śremskiego, razem z oddziałami, które trzymały dworzec w Chrośnicy, nasze okno na resztę Polski.

Gdy jednak jeden dzień po drugim zaczął uchodzić, nie przynosząc żadnej poprawy w naszej sytuacji, gdy podniecenie wywołane pierwszą większą krwawą rozprawą zaczęło mijać, zaczęły się odzywać trzeźwe refleksje i ujawniać ujemne skutki przegranej bądź co bądź bitwy. Dowódcy i żołnierze zaczęli rozumieć, że cel wyprawy Zbąszyńskiej i zdobycie Zbąszynia, należy uważać za chybiony, i że podjęcie ponownej próby na najbliższy czas jest wykluczone.

Z tą chwilą żołnierz zaczął sarkać na to, że go jeszcze trzymano pod Zbąszyniem i natarczywie domagać się, by mógł wrócić do swoich garnizonów celem nowego wyekwipowania się i lepszego przygotowania do dalszych walk. Niewątpliwie żądania te były w znacznej mierze słuszne, oddziały bowiem nie były przygotowane do dłuższej pozycyjnej kampanji. Bataljony jarociński i śremski zostały wysłane pod Zbąszyń w ściśle określonym celu zdobycia Zbąszynia, a więc dla przeprowadzenia krótkiej akcji. Wyszły więc z domu prawie bez niczego, bez bagażu, bez cieplej odzieży, w zniszczonych mundurach, pochodzących jeszcze z wielkiej wojny, a przedewszystkiem bez zapasów amunicji, które podczas ataku na Zbąszyń bardzo poważnie stopniały. Niejeden z żołnierzy, licząc się z rychłym powrotem, pozostawił swoje sprawy bieżące niezałatwione, rodziny niezaopatrzone. Kompanja kórnicka w szczególności liczyła początkowo na przysłanie ekwipunku z zapasów garnizonu poznańskiego, o który jeszcze przed wyruszeniem wystarał się w Poznaniu, kierownik kórnickiej intendentury Wojciech Król, oraz na zasilenie szeregów t. zw. drugą kompanją kórnicką. Nadmieniam nawiasem, że ambicją dowódcy powiatu śremskiego, Szczepkowskiego było postawić z powiatu cały pułk, a ambicją kórnicką do tego pułku dostarczyć cały bataljon.

W tym celu jeszcze przed wyjazdem pod Zbąszyń rozpoczęto organizowanie drugiej kompanji kórnickiej, a żołnierz pod Zbąszyniem liczył na to, że lada dzień przybędzie ta druga kompanja, przywiezie ekwipunek i umożliwi urlopowanie tych, którzy mieli pilne sprawy w domu. Odczuwano potrzebę tego tembardziej, że tymczasem dowódca baonu odesłał do Śremu kompanję śremską, w której demoralizacja zaczęła się szerzyć coraz więcej i która dlatego, nie przedstawiając wielkiej wartości bojowej, była wprost niebezpieczeństwem dla reszty oddziałów.

Można więc sobie wystawić rozgoryczenie naszych ludzi, gdy się dowiedzieli, że z takim trudem uzyskany ekwipunek został zużyty w całości na wyekwipowanie drugiej kompanji kórnickiej, i że z tą kompanją Gawrych, prezes Rady Robotniczej w Kórniku, samowolnie wyruszył pod Leszno.

Także i przysłania drugiej kompanji śremskiej odmówiono Chosłowskiemu. Do tej depresji moralnej doszło jeszcze pogarszanie się naszej sytuacji strategicznej. Niemcy bowiem, wzmocniwszy się poważnie, postanowili wziąść odwet za szturm na Zbąszyń i zlikwidować pozycje polskie w Łomnicy i pod Zbąszyniem, stanowiące nadal stałe zagrożenie ich pozycji w Zbąszyniu, do utrzymania której przywiązywali słusznie nadzwyczajną wagę. Niebawem też zaczęły nas niepokoić pierwsze oznaki zbliżającej się kontrofenzywy niemieckiej.

14 stycznia przynieśli Polacy ze Zbąszynia, którzy przedarli się przez front, wiadomość, że Niemcy przygotowują na następną noc generalny atak na Łomnicę. Wiadomość tę przyjęliśmy z pewnem zadowoleniem. Żołnierz nasz bitwy się nie bał, o ile był do niej przygotowany. Z drugiej zaś strony atak niemiecki przynosił szybką decyzję i wyjście z położenia, które zaczynało być nieprzyjemnem. Przytem żołnierz pałał chęcią odwetu za straty w Strzyżewie, za zawiedzione nadzieje przy ataku na Zbąszyń. Wiara w dowódców i w swoją własną bitność dawała pewność, że o ile nieprzyjaciel uderzy w nocy na nasze pozycje, w odpowiedni sposób przygotowane, to narazi się na niechybną klęskę.

Chosłowski, pozostawiony przez dowództwo frontu naogół własnej przemyślności, z zwykłą u niego obrotnością starał się zapewnić sobie pomoc, gdzie tylko mógł. Dowiedziawszy się, że o kilkanaście kilometrów na północ hr. Łącki tworzy w Lewkowie silne oddziały powstańcze, wysłał wprost do niego gońców z prośbą o pomoc. Gońcy wrócili z zapewnieniem, że oddziały w Lewkowie będą w pogotowiu i, jak tylko Niemcy nas zaatakują, natychmiast całą siłą wyruszą nam na pomoc... Chciałbym tutaj podkreślić pewien rys charakterystyczny dowódców wielkopolskich, odróżniający ich tak wybitnie od niejednych wodzów polskich w poprzednich powstaniach, przedewszystkiem od tak smutnych objawów nieufności i zazdrości w powstaniu listopadowem. Nie było między nimi żadnych niezdrowych ambicji wywyższania się jednych ponad drugich, a panowała zawsze gotowość niesienia sobie wzajemnie pomocy, bez oglądania się na rozkazy. Brak w pierwszych dniach powstania jednolitego świadomego swoich celów naczelnego dowództwa uzupełniała inicjatywa poszczególnych dowódców i to wielkie poczucie solidarności w tych zmaganiach się z odwiecznym wrogiem.



Hr. Ostroróg - Gorzeński z Tarzec, komendant bataljonu jarocińskiego.

Noc z 14 na 15 stycznia spędziły oddziały w pogotowiu bojowem na wybranych pozycjach. Lecz Niemcy nie uderzyli. Nie wiadomo, czy dlatego że alarm był fałszywy, czy też dlatego, że zostali przez szpiegów o naszych przygotowaniach powiadomieni. Jeżeli zaś sami rozmyślnie rozpuścili tę pogłoskę o ataku, co jest również możliwe, by przez ciągłe niepokojenie nas wywoływać depresje, to zamiar taki częściowo się udał. Oddziały, wracając do swoich kwater były częściowo z jednej strony zniechęcone całonocnem wyczekiwaniem, z drugiej strony zdawały sobie sprawę z tego, że groźba ataku niemieckiego odtąd będzie stale nad nami wisiała, i że atak może nastąpić w momencie najmniej spodziewanym. Przytem żołnierz był dostatecznie doświadczony, by nie zdawał sobie sprawy z fatalnego naszego położenia strategicznego. Łomnica leżała w środku wielkiej polany i dotykała swoim północnym i południowo - wschodnim krańcem olbrzymich lasów, które i w środku pozycji, od strony zachodniej, zbliżały się do pierwszych zabudowań wsi na niewielką odległość. Kwatery poszczególnych oddziałów w tej długiej wsi były zaś od siebie bardzo oddalone i mimo połączenia przez telefon polowy w razie nocnego ataku trudnoby było jednolicie niemi kierować. Były one zaś za słabe, by wszystkie niebezpieczne punkty stale tak silnie mieć obsadzone, by mogły się one utrzymać wobec niespodziewanych ataków, rozwijających się z lasu bezpośrednio z nimi graniczącego. Pewną lecz stosunkowo małą, a przytem zawodną pomoc dawała niewielka organizacja straży bezpieczeństwa miejscowej ludności. Składała się ona bowiem przeważnie z Niemców, choć katolików. Wprawdzie antagonizmy religijne w stosunku do reszty protestanckiej okolicznej ludności, stare sympatje do polskości na tem tle wyrosłe, oraz obawa przed skłonnemi do rabunku elementami w grencszucu, kazała im stanąć po naszej stronie, by bronić swej wsi przed najazdem, lecz był to zawsze element niepewny i nie mógł być zużyty do poważniejszych akcji. Mieli oni zresztą komendę niemiecką, co raz o mało co dopowadziłoby do katastrofy, gdy patrol lokalny spotkał się w nocy z naszym patrolem i na żądanie hasła odpowiedział po niemiecku. Na szczęście patrol nasz składał się z starego doświadczonego żołnierza, który czuł, że w danem miejscu nieprawdopodobnem było spotkanie się z nieprzyjacielem i nie odrazu odpowiedział salwą, lecz dalszemi pytaniami wyjaśnił sytuację.

Chosłowski zdawał sobie sprawę z tego, jak niebezpiecznem było w tych warunkach pozostawanie na pozycji, jak z dnia na dzień oddziały traciły na energji. Postanowił więc 15 stycznia wyjechać, by sprawy przedstawić w naczelnem dowództwie i o ile możności ze Śremu i Kórnika ściągnąć posiłki, ekwipunek i amunicję.

Poprzednio już nadmieniłem, że ani z Kórnika, ani ze Śremu ich nie uzyskał, wobec czego udał się wprost do naczelnego dowództwa do Poznania. Wyjazd jego, obliczony początkowo tylko na jeden dzień, nadzieją na pomoc przyniósł pewne uspokojenie. Lecz gdy zaczął się przeciągać, w bataljonie, który pozostał narazie bez dowódcy, wzmogło się niezadowolenie. Całe szczęście, że między dowódcami z jednej strony, a między nimi a adjutantem baonu z drugiej strony panowała ta harmonja powstańca, o której wyżej mówiłem, a która umożliwiła zgodne współdziałanie i bez dowódcy.

Tymczasem mnożyły się zwiastuny nadciągającej burzy. Niemcy, którzy dotychczas Łomnicę ze względów pewnie na jej ludność niemiecką i Niemkę właścicielkę oszczędzali, rozpoczęli nocami wieś ostrzeliwać, kierując swój ogień na sztab baonu, owczarnię, w której mieściła się kawalerja nasza i na szkołę, w której kwaterowała kompanja kórnicka. Rozumieliśmy wszyscy, że te wieczorne napady ogniowe miały nietylko za cel męczenia nas, lecz także wstrzeliwanie się nieprzyjaciela przed atakiem. Codzienne, nieraz bardzo niebezpieczne wywiady konnych i pieszych patroli potwierdzały powagę położenia.

Noce stawały się nie do zniesienia. Rozrzucony po kwaterach żołnierz w bezsennych nocach tracił coraz więcej nerwy. Po odbytej z adjutantem Domagalskim naradzie postanowiliśmy więc na noc koncentrować cały bataljon w jednem miejscu, na południowo-wschodnim krańcu wsi, zabezpieczając jak najsilniej linję odwrotową ku dworcowi w Chrośnicy. Rozpoczęły się tedy te niezrozumiale dla mieszkańców wsi i dworu ruchy naszych oddziałów. Skoro noc nadchodziła znikały one pocichu z północnej i środkowej części wsi, by skoro świt nadchodził, zjawiać się również cicho i niespodziewanie na starych pozycjach.

Po nieprzespanej nocy witaliśmy z radością upragnione światło dzienne, które nam zdawało się dawać zabezpieczenie przed atakiem i upragniony odpoczynek.

V. Kontrofenzywa niemiecka. Zwycięstwo pod Łomnicą.

Gdym w południe dnia 17 stycznia szedł na obiad z biura bataljonowego przeniesionego tymczasem również na południowy koniec wsi, nie przeczuwając nic złego, noga moja potknęła się na drodze o wielką podkowę. Zawahałem się, lecz zabobon żołnierski zwyciężył trzeźwy rozsądek; schyliłem się i schowałem ją do kieszeni „na szczęście". Towarzyszyła mi ona przez cały ten ciężki dzień i odtąd wisi w moim pokoju na poczestnem miejscu owinięta wstążkami biało - amarantowemi.

Dochodziłem do kwater kompanji, gdy naraz od środka wsi, w miejscu, gdzie wieś kierunek swój z północy na południe zmieniała na kierunek wschodni, wysyłając wzdłuż drogi do Strzyżewa kilka zabudowań, w ostatnim z których umieszczony był jeden z naszych odwachów, padły pierwsze strzały. Niebawem natężenie ognia zaczęło tak potężnie wzrastać, że nie mogło ulegać wątpliwości, że wielkie siły niemieckie atakowały środek wsi, broniony tylko przez ów nieliczny słaby odwach. Jasnem było, sądząc po natężeniu ognia, że długo odwach ten utrzymać się nie mógł, a wówczas nieprzyjaciel rozrywał nasz cały front, co musiało prowadzić do katastrofy. Zrozumiał to w tej chwili każdy żołnierz. To też gdym dobiegał do szkoły, by zaalarmować kompanję, ta już samorzutnie się z niej wysypywała. Zamieniwszy jeszcze kilka słów, co do położenia i planów obrony z Domagalskim, wróciłem do kompanji, którą zastałem już w szyku bojowym. Nie brakło nikogo. Wszyscy rozumieli, że nadszedł ten ciężki moment krwawej próby od szeregu dni przewidywany; stanęli w szeregu wszyscy, i ci, których to było obowiązkiem, i ci którzy mieli prawo zostać w kwaterze, na czele sierżant sztabowy Stanisław Pohl, stanęli pisarze i ludzie od kuchni. Nie było widać ani zamieszania ani strachu. Pierzchły wszystkie zmory i niepokoje dni ostatnich, szał bojowy ogarnął wszystkich, kompanja stawała się tem czem była zawsze w ciężkich momentach, cudownem narzędziem wojennem w ręku dowódcy.

Położenie zaś było ciężkie, z czego sobie każdy zdawał sprawę. Niewątpliwie główny atak szedł na centrum, lecz należało się liczyć z możliwością ataku z północy z flanki w miejscu gdzie wieś bezpośrednio stykała się z lasem. Konieczność rzucenia głównych sił kompanji w centrum, nie zwalniała od obowiązku zabezpieczenia tej słabej naszej strony. Mogłem to tylko zrobić słabemi siłami, lecz musiały one dawać gwarancję wytrwania do ostateczności. Wybór mój padł na dwóch podoficerów Szwajkowskiego i Pudelskiego.

Zawołałem ich do siebie, zwróciłem uwagę na położenie i na wielką odpowiedzialność, która na nich spocznie. Każdemu z nich przydzieliłem po jednym ciężkim kulomiocie z obsługą i jednej sekcji z pierwszego plutonu. Szwajkowski miał bronić północnego krańca wsi, tj. połączenia jej z lasem. Pudelski zaś miał obrać pozycję, wprawdzie mniej narażoną na niespodzianki, lecz nie mniej ważną, bo pozycję przed zabudowaniami dworskiemi. Wprawdzie pozycja ta była otoczona murem i las był od niej odcięty szerokiem pustem polem, lecz była ona bardzo rozległa i wymagała umiejętnego operowania drobną załogą. Zażądałem od obydwóch przyrzeczenia, że w razie ataku powiadomią mnie natychmiast o sytuacji, a tymczasem powierzonego im odcinka do ostatniej kropli krwi, do ostatniego człowieka bronić będą. Nie potrzebowałem czekać na odpowiedź. Patrząc na ich skupione twarze i bijące z nich zdecydowanie, nie wątpiłem, że Niemcy tylko po ich trupach do wsi wedrzeć by się mogli. Szwajkowskiemu zresztą nie poraz pierwszy tak ważną funkcję powierzałem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

HILARY MAJKOWSKI, POZNAŃ

WITRAŻE JANA PIASECKIEGO

Wśród kilku ostatniego pokolenia, zajmujących się witrażownictwem, jedno z czołowych miejsc zajął młody artysta - wielkopolanin, Jan Piasecki. Wystawiał on ostatnio cykl kartonów witrażowych dla hi-



Jan Piasecki Fot. R. S. Ulatowski. „Ukrzyżowanie"

storycznego kościółka N. P. M. (przy katedrze) w salonie Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych. Piasecki przez szereg lat był uczniem Wiktora Gosienieckiego, profesora klasy dekoracji i witrażownictwa Państwowej Szkoły Sztuk Zdobniczych w Poznaniu. Ale, jakby naprzekór wszelkiej akademickości i smakom, pielęgnowanym przez swego profesora, stał się młody artysta najsilniejszem zaprzeczeniem formuł impresjonistycznych, które tak obficie nań spływały w czasach studjów. Przejrzał nauczyciel swego ucznia i dlatego może trudno poznać, ile zawdzięcza Piasecki jego wytrwałemu kierownictwu. W każdym bądź razie dopomógł prof. Gosieniecki w uświadomieniu, że najważniejszem polem działania młodego artysty będzie witraż i właśnie w tej dziedzinie już dziś doszedł on do wspaniałych rezultatów.

Powiedział kiedyś Wyspiański, że „każda sztuka jest sztuką stosowaną". Pokolenie, które po nim nastało, poczęło dopiero należycie oceniać zdobnictwo. I to podpatrzenie Wyspiańskiego w pierwszych pracach Piaseckiego uwidocznia się nadewszystko w witrażu „Bolesław Śmiały", prócz gotyckiej „Legendy Chrystusowej" (nagrodzonej na paryskiej wystawie w roku 1924 wielkim medalem „Grand Prix") i „Matki Boskiej Ostrobramskiej", stanowiących pierwszy etap twórczości z czasów jeszcze szkolnych. Podpatrzenie, co muszę zaznaczyć, tematyczne. Zarówno bowiem ornament, jak i technika w tych, jak i późniejszych pracach, niema nic z Wyspiańskiego, przedstawiając wprost przeciwny biegun.

Witraż „Bolesław Śmiały" wyobraża scenę zamordowania rycerza Stanisława, Biskupa krakowskiego, w roku 1079. Po stronie lewej postać króla rozplanowana w górnej czwartej części kartonu w chwili, kiedy godzi dzirytem w Stanisława, upadającego od ciosu (kompozycja figury drugiej: prawa i lewa czwarta część kartonu). Wyraz zabójcy określićby można słowami poety:

„jeżeli on jest tym,
którego Bóg przeciw mnie posyła,
by wstrzymał mnie, gdzie mnie się znaczy droga,
to ja go zabiję,
bom na to jest od Boga.
— — — — — — — — —
Ja widziałem,
że tam, w jego oczach goreją
światła, które płoną stulecia.
— — — — — — — — —
. . . i skonał, — że ja go ciąłem w kark
mieczem — żórawiem!"

(Wyspiański „Bolesław Śmiały", akt. I, scena 18.)

Postać Biskupa wyraża ból i przestrach, tak, jak króla, zuchwałość chłopa na „śpiewnej uchowanej bajce". Witraż nasycony jest kolorystycznie, mimo ponurego tematu kompozycji zwartej w górnej prawej części zdobnikiem jakoby stylizowanej parzenicy. Podkreślić muszę, że zarówno „Bolesław Śmiały" — jak dalsze —: „Legendy Chrystusowe" i „Matka Boska Ostrobramska", a więc pierwsze trzy witraże, całkowicie wykonane zostały w Państwowej Szkole Sztuk Zdobniczych w Poznaniu.

Następnie, już po ukończeniu przez Piaseckiego poznańskiej uczelni, cykl (7-miu) kartonów z historji świętej dla kościoła w Brzeźnach (wykonanych u Żeleńskiego w Krakowie) o tematach następujących: „Ukrzyżowanie", „Zwiastowanie", „Zesłanie św. Ducha", „Zmartwychwstanie", dwóch patronów kościoła i „Panny Częstochowskiej". Cykl ten stanowi przejście między szkolnymi a następnemi pracami artysty dla Śląska, pracami o konstrukcji maszyny - człowieka, symbolu wieku XX-go. Zaś najciekawsze „Ukrzyżowanie", jakby dürerowska transpozycja sztychu na szkło o zmatowanej kolorystyce, uwydatniającej się specjalnie w twarzach w bólu zastygniętych — Marji i Jana. I tutaj tkwi duża dramatyczność, której nie ustrzegł się „samodzielny" Piasecki, omotany silnemi wpływami Wyspiańskiego, tak silnie akcentowanych zawsze jeszcze w poznańskiej uczelni.

Okres trzeci w twórczości naszego witrażysty, to zerwanie z nawyczkami i wpływologją, a szukanie własnej, indywidualnej fizjognomji, tak trudnej do odnalezienia w witrażu. Okres gorączkowej, z uporem okiełznanej pracy młodzieńczego temperamentu wykazuje pozycje w kolejności następujące: pięć witraży dla miasta Rybnik („Handel i Przemysł", „Hutnictwo", „Górnictwo", „Rolnictwo", herb miasta), dla miasta Łodzi witraż, przedstawiający robotnika, trzy nowoczesne dla sali Syndykatu Hut w Katowicach, pięć kompozycyj, ilustrujących „Psalmistów" dla jednego z kościołów pod Wrocławiem — wreszcie trzy 7-mio metrowe dla ratusza w Chorzowie („Górnictwo", „Handel i Przemysł" i „Hutnictwo").

Jakby inny świat stanowią te prace Piaseckiego. Świat wieku XX, z głównym ośrodkiem — maszyną, wypierającą pracę rąk. W „Świętej Barbarze", błogosławiącej górników, otoczył artysta witraż ornamentem kon-



Jan Piasecki Fot. R. S. Ulatowski. „Legendy Chrystusowe"

strukcyjnym, tak harmonizującym z „modern" traktowaniem całej — że się tak wyrażę — symfonji na cześć nowoczesnej urbanistyki. Ornament ten uwypuklił dodatniej ostatnie z tej serji witraże („Górnictwo", „Handel i Przemysł", „Hutnictwo" dla Chorzowa), symbolizując niejako swą bezbarwną („en grisaille") tonacją los ludzi, patrzących codnia w szarą głębię fabryk, hut i kopalń. Witraże te, przy uwzględnieniu szeroko planowanej kompozycji o założeniach tego, co określa zagranica jako „die neue Sachlichkeit", stawiają Piaseckiego w poczet pierwszych witrażystów współczesnej Polski*).

*) Nie od rzeczy będzie, że wspomnę, że dziełem artysty były również cyklony, oraz liczne polichromje w gmachach P. W. K. w Poznaniu.

Wreszcie ostatni cykl, 7-miu witraży z historji (epoka Piastów), projektowanych dla poznańskiego kościoła N. M. P., wystawiony niedawno u „Przyjaciół Sztuk Pięknych", o następujących tematach: 1) „Królowa Korony Polskiej w otoczeniu patronów" (Polski), 2) „Biskup Stanisław rzuca klątwę na Bolesława Śmiałego", 3) „Legenda poznańska o trzech hostjach", 4) „Bolesław Chrobry" (w apoteozie św. Wojciech), 5) „Św. Jacek" (w otęczy Jadwiga Śląska, u dołu Henryk Pobożny), 6) „Królewicz Kazimierz składa insygnia P. Ostrobramskiej" (u spodu dziejopis Długosz) — oraz 7) „Błogosławiony Biskup Kadłubek" z klęczącemi córkami królewskiemi, Kingą, Salomeą i Jolantą, Leszkiem Czarnym, Kazimierzem Sprawiedliwym oraz Przemysławem na tle herbu miasta Poznania.

Piasecki wyszedł w cyklu ostatnim z założeń syntetycznych starych witraży gotyckich, słusznie podkreślając przy historji ówczesne momenty religijne. Mimo archaizowanych cech w traktowaniu i opracowaniu tematów, witraże te mają konstrukcję nawskroś nowoczesną. Niemniej szczęśliwie podkreślił artysta pryzmat łamania światła, tak charakterystyczny w starych witrażach z Dijon i Augsburga (szara twarz o archaizowanych rysach św. Stanisława na tle barwnych chorągwi i przygniecionego klątwą Bolesława Śmiałego).

Witrażami temi zainteresował się ostatnio J. E. Ksiądz Prymas i Kardynał dr. Hlond. Miejmy więc nadzieję, że zdobić one kiedyś będą jeden z najszacowniejszych zabytków budownictwa starego Poznania po prawej stronie Warty, jakim jest kościół N. M. P.

JAN SMEREK

Z górnej wsi

Tę odrobinę świata,
gdzie cisza wyziera z rzeki
i w górach milczą wieki,
potrafiłbym kochać.

Jest tu zaledwie kilka domów,
lecz każdy z nich jak świątynia,
gdzie w snach ich mieszkańców
Bóg żyje żywy.

Władczynią widziałną
jest tu zieleń i zieleń,
czterolistna koniczyka
roślina szczęścia.

Rozbijam peryskop,
którym spojrzeć można w miasta
i mądrość swoją czerpię
od niebieskiego ptactwa.

ze słowackiego tłumaczył
ANTONI BROSZ, Kraków.

REMIGJUSZ NEY, POZNAŃ

Ogryzającym kostki...

Kiedy dodatek literacko - artystyczny dawnego narodowego dziennika „ABC" się usamodzielnił, z tą chwilą zmienił się jego charakter socjologiczny. Dodatek literacko-artystyczny miał tylko o tyle znaczenie, że właśnie był dodatkiem. „Prosto z mostu" zaś przez sam fakt swego usamodzielnienia się stało się indywidualnem zjawiskiem o społecznych aspektach. I w tem leży sedno sprawy, którą chcemy tutaj poruszyć.

Idzie o to, że ludzie kierujący danem zjawiskiem społecznem lub o niem stanowiący — są niem związani i zobowiązani. Oni sami mogą nie mieć świadomości społecznego działania, ale grupa, podlegająca wpływom zjawiska społecznego, które stworzyli, jest czynnikiem najbardziej decydującym, kierowniczym i ma prawo do sankcyj.

Wydawcy i redaktorzy „Prosto z mostu" wyglądają na to, jakby nie zdawali sobie sprawy ze zasadniczej przemiany, jaka nastąpiła w ich piśmie. W dziale literackim dziennika nacisk spoczywał na jego istocie tj. „literackości", podczas gdy małą wagę przedstawiał czynnik socjologiczny, w całości reprezentowany przez dziennik. Natomiast usamodzielnione pismo literackie samo musi dźwignąć ciężar odpowiedzialności społecznej i etycznej. Zyskawszy autonomję jako indywidualne zjawisko społeczne, straciło autonomję wewnętrzną. Wprawdzie jego istotny charakter jako pisma literackiego utrzymał się nadal, ale stanowi on tylko konkretny materjał i podstawę dla nadrzędnego, społecznego oddziaływania. Więc gdyby nawet wydawcy danego pisma literackiego jak najsilniej się odizolowali od rzeczywistości społecznej i od jakichś pozaliterackich celów — owo społeczne oddziaływanie — jakiekolwiekby ono było — istniałoby mimo to. Istniałoby mianowicie tak długo, jak długo pismo znajdowałoby czytelników swoich. Zwyczajny jednak działający mają tę świadomość, która wyraża się w pewnej ideologji. Ideologji, organizującej i konstruującej treść pisma („literackość") w teleologiczną całość.

Oczywiście nie mówimy tu o takiej ideologji, która wyraża się w braku jakiejkolwiek ideologji, czego przykładem są czasopisma filatelistów, buchalterów, konduktorów kolejowych itp. One są o tyle zjawiskiem społecznem, że zaspakajają pewne, określone potrzeby pewnej określonej grupy społecznej. Do której tych czasopism możnaby zaliczyć „Prosto z mostu". Implikuje to postawa jego redaktorów, którzy skupiają około siebie pisarzy najróżniejszych ideologji, chcąc przez to podkreślić specjalną funkcję swego pisma, a także zaprzeczyć podejrzeniom co do jego ideologicznego charakteru. Na tej płaszczyźnie jedyne kryterjum oceny pisma jest to: czy ono dobrze spełnia swoją funkcję użytkową, czy też niedostatecznie. Można je ganić lub chwalić tak, jak się gani lub chwali np. biuletyny P. A. T.-a lub komunikaty P. I. M.-a. Odnośnie do „Prosto z mostu" uznawalibyśmy jego zasługi i wartości dla kultury i literatury za artykuły wartościowe mniej lub więcej wybitnych pisarzy — podobnie, jak nie możnaby temu zaprzeczać niejednokrotnie — „Wiadomościom Literackim" czy „Pionowi". Tutaj jest wszystko w porządku.

Ale jest w tem jedno — ale. Ta bowiem abstrakcyjna, idealna ekskluzywność pisma, oddanego spełnianiu ściśle określonej funkcji — nie zawsze daje się realizować. Jeszcze pół biedy, z pismem dla buchalterów — ale naprawdę trudno jest z pismem literackiem. Nie wykroczyć bowiem poza te ściśle określone ramy użytkowności, to nie jest rzecz tak łatwa — i dla jednej strony (dla wydawców) i dla drugiej (dla przedmiotu ich działania). A skoro tak się dzieje, to wtedy ujawnia się dużo niebezpiecznych nieporozumień.

Konstatujemy je odnośnie do „Prosto z mostu".

Nieporozumieniem jest przeświadczenie, jakoby mogło istnieć na dłuższy dystans pismo literackie, wyzbyte całkowicie ideologji, bo i tak rychło czy późno ją wybierze — poprostu dla większej skuteczności swego działania. Do tego, że dane pismo przybiera ostatecznie jakąś ideologję, lub, że jako ideologiczne jest w świadomości swych czytelników pojmowane (b. ważne!) zniewala konieczność socjologiczna. Tak więc ideologia „Wiadomości Literackich" objawia się w indyferentyźmie, internacjonaliźmie i — jak kto chce — amoraliźmie, a ideologja „Pionu" w afirmacji państwa. Jaka zaś jest ideologja „Prosto z mostu" — trudno coś powiedzieć. (Obawiam się, że słowo i d e o l o g j a w odniesieniu do „Prosto z mostu" może czuć się potrosze spostponowanem). Można tylko jedno stwierdzić — że jest mętna i bałamutna.

Wszyscy, którzy spodziewali się po „Prosto z mostu", że oto mamy wreszcie n a r o d o w e literackie pismo o dużej energetyce, srodze się zawiedli. Teraz to już widać zupełnie wyraźnie, że „Prosto z mostu" jest pismem liczącem się z konjunkturą, nie gardzącem „byssnessem", nie mającem żadnych innych celów ponad ten, by się za wszelką cenę utrzymać, porość we wpływy, znaczenie, dostatek. To, co u pism naprawdę ideowych jest celem podrzędnym — u niego jest celem nadrzędnym. Więc „Prosto z mostu" — ponieważ takie już jest — nie kwapi się zbytnio z rozwiewaniem złudzeń, że jest pismem narodowem. To może przecież jemu dobrze robić.

Ale złudzenia pozostają złudzeniami. Ktoby się chciał o tem przekonać, niech przeczyta następującą notatkę w 12 nr. „Prosto z mostu": „W n u d ę naszego życia politycznego wprowadza wiele o ż y w i e n i a ostatniemi czasy Rada Miejska w Łodzi, której

Szukamy nowych talentów

W Instytucie Krzewienia Sztuki, plac Wolności 14a, mieliśmy ostatnio ciekawą wystawę akwarel znanego i niezbyt jeszcze docenianego artysty malarza, Wilka B a l l a r i n a z Leszna Wlkp.

Artysta ten kształcił się w klasie prof. Fryderyka Pautscha we wrocławskiej Akademji Sztuk Pięknych. W roku 1919 osiadł w Lesznie Wlkp., a dwa lata później wystawił w Poznaniu kilka swych prac olejnych. Były to mniejsze obrazy rodzajowe z życia prowincjonalnego miasteczka, w technice tak charakterystycznej dla wszystkich uczniów Pautscha, jakim jest grube nakładanie farb. Od tego czasu artysta nie wystawiał, zajmując się poza pracą zawodową (Ballarin jest profesorem gimnazjum w Lesznie) nad udoskonaleniem swej sztuki malarskiej, której to ostatni nader ciekawy etap rozwoju przedstawił nam na wystawie w „IKS-ie".

Kolekcja obejmowała szereg kompozycyj w technice akwarelowej. Podpadał doskonały rysunek i niemniej opanowane podejście techniczne, tak trudne właśnie w fakturze wodną farbką. Ballarin operuje kolorystyką zmatowaną, chcąc tem uzyskać efekt patyny jakgdyby starego obrazu.

Udało mu się to w zupełności, co szczególnie uwidocznia harmonijnie ześrodkowana kompozycja trzech dziewczyn p. t. „U studni", „Św. Franciszek z Asyżu" i „Madonna I".

Faktycznie jedna z bardzo dobrych wystaw, która dużo zapowiada na przyszłość, mało znanego artysty malarza.

Oprawa eksponatów pierwszorzędna.



W. Ballarin — Studjum (akwarela) — *Salon IKS.*

JAN BUŁHAK, WILNO

Fotografika czyli fotografja artystyczna

Witając z zadowoleniem udzielenie przez redakcję „Głosu" miejsca na łamach tego pisma sprawom fotograficznym, uważam jednak za konieczne ostrzec czytelników przed dezorjentacją, jaką mogłyby spowodować niektóre twierdzenia artykułu p. K. Hoffmana w nr. 4 „Głosu" pt. „O współczesnej fotografice", ponieważ opinja szerszego ogółu jest w tych sprawach niedostatecznie uświadomiona, a powinna być informowana dokładnie i ściśle.

P. Hoffman twierdzi, że istnieją w fotografji współczesnej dwa odrębne kierunki: fotografja artystyczna i fotografika. Fotografika „rzekomo" zapożycza technikę uzyskiwania kopji (zapewne „obrazu?") ze sztuk pokrewnych - grafiki i malarstwa", fotografja zaś artystyczna ma podług niego polegać na „czystości technicznej o wiernem odbiciu rzeczywistości fotografji pięknej s a m e j w s o b i e(?)".

Teza powyższa jest wyłącznie osobistym poglądem p. Hoffmana i nie znajduje potwierdzenia w całej literaturze i krytyce fotograficznej ani polskiej ani zagranicznej. Od pretensyj niemieckiej „nowej rzeczywistości (neorealizmu) jest jeszcze bardziej daleko do uznania tego, już przeżywającego się prądu, za wszechstronną i uniwersalną formę ekspresji artystycznej. W najlepszym razie neorealizm mógłby aspirować do miejsca o b o k, a n i e z a m i a s t f o t o g r a f j i a r t y s t y c z n e j, gdyż jest zaledwie zmianą punktu widzenia i środków technicznych, niejako powrotem do ich dawnego prymitywizmu. Poważna krytyka szuka sprawdzianu wartości dzieła fotograficznego nie w jego treści i technice, lecz w stosunku autora dzieła, osobistym i twórczym, niezależnie od uprawnianych przezeń środków rękodzielniczych. Czysto rzeczowego i technicznego odtwarzania rzeczywistości n i k t n i g d z i e d o t y c h c z a s n i e n a z w a ł f o t o g r a f j ą a r t y s t y c z n ą. Czyni to jeden p. Hoffman — na własną odpowiedzialność.

Następnie utrzymuje p. Hoffman, iż ja zaliczam do dzieł fotografiki jedynie „obrazy fotograficzne, przypominające miedzioryty i akwarele lub akwatinty", innemi słowy obrazy, wykonane w technice gumowej i olejowej. Twierdzenie to jest całkowicie dowolne i w żadnej mierze nie odpowiada istotnemu stanowi rzeczy, przeciwnie — przeczy wszystkiemu, co pisałem i co wystawiałem przez bardzo wiele lat. Oddawna pracuję wyłącznie w bromie i te bromy nie były odrzucane na forum najszerszem, więc chybaż były uznawane za dzieła „fotografiki?". Twierdzenie p. Hoffmana zdaje się nie brać pod uwagę całej mojej pracy bromowej i powstać mogło chyba tylko wskutek nieznajomości literatury fotograficznej. Istnieją przecież, pomiędzy rozprawami krytycznemi i estetycznemi wielu autorów, trzy moje podręczniki: „Fotografika", „Technika bromowa" i „Bromografika", wydane w latach 1931/34, z których każdy jest świadectwem wręcz przeciwnego pojmowania przezemnie fotografiki, nierównie szerszego i merytorycznie odmiennego, niż mi to imputuje p. Hoffman. Wystarczy przeczytać uważniej 13 i 15 w „Fotografice" i stronicę 18 w „Bromografice", żeby się o tem przekonać, i żałować można, że autor artykułu nie uczynił tego przed jego napisaniem.

Wreszcie p. Hoffman utyskuje na jednostronność dzisiejszej prasy fotograficznej i wyraża tęsknotę za prasą „niezależną", n i e h o ł d u j ą c a ż a d n y m k i e r u n k o m, a uznająca tylko p r a w d z i w a pracę i jej wyniki". Można watpić, czy ktokolwiek podzieła tęsknotę p. Hoffmana. Nawet „bezkierunkowa" krytyka artystyczna, gdyby taka istniała, nie zainteresuje się „prawdziwą p r a c ą" i będzie wolała oceniać — prawdziwą t w ó r c z o ś ć w każdej dziedzinie plastycznej. Przy artykule p. Hoffmana widzimy trzy fotografje, nie odróżniające się od tysiąca poprzedniczek niczem, prócz perspektywicznej krzywizny punktu widzenia. Czy mamy uważać je za wzory „prawdziwej pracy fotograficznej", o której mówi p. Hoffman, nie wyjaśniając dlaczego za taką nie uważa naprzykład tego, co choćby w tym samym Poznaniu dokonali Wański, Cyprian i Gardulski? A postępując tak p. Hoffman wpada — tylko z drugiego końca — w tę samą jednostronność, którą tylko co potępił w innych. Dzieje się to wskutek zastosowania niewłaściwej metody krytycznej, uwzględniającej" myśl jednostki twórczej" zamiast przeżycia twórczego tejże jednostki, i narzędzie, którem się posługuje artysta — zamiast osoby i oblicza duchowego tegoż artysty.

W fotografice, która jest tem samem, co fotografja artystyczna, rozstrzyga o wyniku pracy twórczej nie narzędzie i sposób techniczny, lecz stosunek człowieka do jego dzieła — indywidualny i emocjonalny. Powinniby pamiętać o tem wszyscy, którzy chcą informować w publicystyce opinję publiczną rzetelnie i gruntownie, nie zaś ją mącić i dezorjentować.

W. NARUSZ, WARSZAWA

Do notatnika!

Stolica posiada dwie uczelnie muzyczne. Jedną z nich jest Państwowe Konserwatorjum, drugą systematycznie zda się judeizowana, na co już prasa niejednokrotnie zwracała uwagę, Wyższa Szkoła Muzyczna im. Chopina, własność Warszawskiego Towarzystwa Muzycznego. Zaznaczam, iż zarówno dyrektorem W. T. M. jak i szkoły jest żyd, Adam Wieniawski, autor opery „Król kochanek", co to kiedyś była powodem głośnego skandalu i innych niemniej „cennych" utworów (o jednym z nich, wykonanym ostatnio na wielkim koncercie symfonicznym w Filharmonji napisał słusznie Michał Kondracki w „Prosto z mostu", iż „... rozweselał nas..."). Akurat rok temu odbył się jubileusz Towarzystwa, uświetniony całym szeregiem uroczystości. Pisałem wówczas o nich w „Myśli Narodowej":

„W poniedziałek 11-go i w czwartek 15-go marca odbyły się koncerty jubileuszowe Warszawskiego Towarzystwa Muzycznego. Pierwszy z nich poświęcony był ściślej Wyższej Szkole Muzycznej im. Chopina. Możnaby o tem wcale na łamach „Myśli", pisma poświęconego kulturze twórczości polskiej, nie pisać, tak swoją atmosferą, pracą i składem osobowym daleko odbiegła ta szkoła od tego, co jest naprawdę polskiem. Jeśli o tem wspominamy, to jedynie z tego powodu, że nie można pominąć milczeniem utraty takiej placówki sztuki narodowej, jaką była i być powinna Wyższa Szkoła Muzyczna imienia Chopina. Właśnie Chopina! Zanim będzie można w inny sposób zareagować na to wszystko, proponujemy, ażeby może nazwisko to zdjąć z szyldu uczelni, która przecież ma tak mało z niem wspólnego, *co nawet zadokumentowała nieumieszczeniem w programach koncertów składających się na całość uroczystości jubileuszowych, ani jednego jego utworu.* Konsekwentne, szczere, czy też niechlujnie niedopatrzone? ...

Jakież niesmaczne wrażenie robił chór śpiewający *„Gaude Mater Poloniae"* ... *Gaude?* — Z czego? Albo pieśni o charakterze religijnym; proszę sobie wyobrazić gromadę nawróconych żydów! ...

A przecież stosunek Chopina do nich był zupełnie niedwuznaczny. Huneker ten jego wyraźny wstręt uważa nawet za jeszcze jeden dowód jego polskości!

Dalecy jesteśmy od deklamowania i odmieniania na wszystkie przypadki wyrazów: żyd, żydostwo itp.; nie dla jakiejś przyjemności (napewno) o tem pisujemy — jest przecież tyle innych, ciekawych i zajmujących tematów. Zresztą m ó w i ć j e d y n i e na ten temat nie lubimy. Czasami jednak słowo jest czynem, chociażby jako jego zapowiedź".

Minął rok ... Wyższa Szkoła Muzyczna cierpi, jak wiadomo, na gorączkę propagandową w wielkim stylu. Przejawem tego są owe międzynarodowe konkursy chopinowskie, obsyłane niemal wyłącznie przez żydów, legitymujących się jedynie różnemi paszportami. Teraz znowu odbyła się nowa impreza. Również międzynarodowy i również o takim, jak tamten posmaku konkurs skrzypcowy, zakończony w nocy z soboty na niedzielę 17-go marca.

Wynik — jakże wymowny!

Posłuchajmy komunikatu!

I-ą nagrodę im. P. Prezydenta Rzplitej Polskiej (w wysokości zł. 5.000) — 15-letnia panna G i n e t t e N o v e u (Francja). Panna Neveu otrzymała ponadto nagrodę rządu francuskiego w wysokości 10.000 frs., przeznaczoną dla laureata pierwszej nagrody, o ile będzie nim obywatel francuski, — dalej — puhar srebrny, ufundowany przez p. Marję z Wieniawskich Eysmondową oraz skrzypce, dar firmy Polonia-Pantif.

II-ą nagrodę — p. ministra wyznań rel. i ośw. publ. (w wysokości 4.000 zł.) — p. Dawid O j s t r e c h (Z. S. S. R.). P. Ojstrech otrzymał ponadto również skrzypce (dar firmy Polonia - Pantif.).

(Dokończenie na 8-ej stronie).

narodowa większość pod przewodem (!) adw. Kowalskiego uchwala jeden po drugim antysemickie wnioski, znoszące subsydja, żądające usunięcia urzędników żydów, odsuwające żydów od udziału w konkursach artystycznych i dostawach. Kilka lat temu wyglądałyby takie wnioski na fantazję. Dziś przyjmuje je przeciętny obywatel jako rzecz zwykłą, a obrońcy żydów jako naśladownictwo." Jeden z najbardziej doniosłych objawów samozachowawczych tendencyj narodowych traktuje „Prosto z mostu" tylko jako „ożywienie nudy", jako wesołe widowisko. Czy to nie nader wymowne? Czyż nie mogłyby tak pisać np. żydowskie „Wiadomości literackie", od których się „Prosto z mostu" dużo rzeczy uczy?

Ustosunkowanie się „Prosto z mostu" do pism literackich o zdecydowanie ideowym charakterze jest wypływem tego nieporozumienia, o którem mówiliśmy na początku niniejszego artykułu, mianowicie, że pisma literackie tracą na wartości, o ile mają charakter ideologiczno - polityczny. Nieporozumienia, którego byśmy nie spotkali u ludzi, znających podstawy i warunki działania społecznego.

Dla „Prosto z mostu" są czemś obcem, niezrozumiałem, nawet śmiesznem pisma wymienionego typu. To jest inna, „niższa rzeczywistość". Nic dziwnego, bo panowie z „Prosto z mostu" „potrzebowaliby mieć" nowy, specjalny zmysł, któryby im pozwolił zrozumieć pisma ideowe. A ponieważ tego zmysłu nie mają, więc wszystko, co nie leży w polu widzenia „Prosto z mostu" wydaje im się bezmyślnem, chaotycznem (czyt. art. „Na ryby" w „Prosto z mostu"), dziwacznem, godnem kpin. Np. „Głos". W „Głosie" panowie z „Prosto z mostu" niczego dla siebie lepszego znaleźć nie potrafią prócz paru drobnych, suchych kosteczek. Gdy na taką kosteczkę natrafią, może ją namiętnie, z zacięciem (a jakże — dziennikarskiem) ogryzywać, ile się da. Ostatnio w ten sposób „Prosto z mostu" poczęło „obrabiać" dwie petitowe notatki z ostatniej stronicy „Głosu". Sądzę, że nie będzie od rzeczy oświetlić odpowiednio tę zaczepkę, bo to nam plastycznie i ciekawie zilustruje znamienny autorament tego pisma.

Nasz korespondent krakowski pisał, że w „Krakowie ogromny brak pisma polskiego literackiego, prawego. Nic dziwnego, że „Prosto z mostu" (pismo nie bez grzechów) zalało z powodzeniem Kraków". Redakcja „Pr. z m." zdaje się być pobłażliwie zdziwiona, że o tym fakcie z pewnem zadowoleniem pisze taki „Głos", dla którego przecież „Pr. z m." jest solą w oku. Również z protekcjonalną pobłażliwością stwierdza, że „w korespondencie „Głosu" znaleźliśmy spowiednika naszych grzechów . . .", w czem zdradza się ze swem przeświadczeniem, jakoby „Głos" naprawdę wielką wagę przywiązywał do „Prosto z mostu" i okropnie się martwił z powodu jego grzechów. Swoisty egocentryzm.

Ale oto czytamy dalej w „Prosto z mostu": „Cieszymy się również, że w tymże numerze „Głosu" uznano za bezgrzeszny zamieszczony w „Prosto z mostu" artykuł Andrzeja Mikułowskiego o przekładach z języków obcych. Ba, artykuł ten został nawet zacytowany (— proszę, proszę; to jest „Głos"! — dop. nasz.) w wyjątkach i streszczony:

„U nas jedną jedyną dobrą tłumaczką jest Aniela Zagórska, „Boy, bijący ją zarówno talentem jak znajomością kultury, którą nam przyswaja, niestety zajął się innym rodzajem twórczości". („Pr. z m." nr. 2).

Reszta to — tłumacze - geszefciarze, których przekłady popierają takie firmy, jak „Młot", „Nowość", „Eureka".

Następuje komentarz:

„Czytelników, którzy niepokoiliby się o losy redaktora odpowiedzialnego „Głosu" w związku z tak zdecydowanem napiętnowaniem przez to pismo znanych firm wydawniczych „Młot", „Nowość" i „Eureka", możemy uspokoić. Te nazwy powymyślał przykładowo dla żartu Mikułowski, a „Głos" wziął je na serjo.

Ot, patrzcie go, triumfatora, co zdołał „Głos" przyłapać na takiej gaffie i — śmiejcie się pajace! Ale, niestety, kto nie jest pajacem, do śmiechu niema najmniejszej ochoty. Tę nabiera raczej do irytacji. Bo gdyby jeszcze wykrzesano kilka porządnych dowcipów z „Głosu" kosztem „Głosu", stojących na poziomie kultury śmiechu! Ale grubo pačkane produkty naiwnej dziennikarszczyzny wzbudzają w najniewinniejszym człowieku raczej sadystyczne zapędy niż śmiech.

Kończąc swój komentarz, redakcja „Prosto z mostu" pisze:

„Ale najlepsze (co dotychczas było wogóle dobre? — dop. nasz) bodaj jest zakończenie:

„Trzeba inicjatywie zdolnego publicysty przyklasnąć, że odważył się podjąć tego rodzaju zagadnienie. Argumentuje je bardzo dosadnie przytoczonemi cyframi. Sądzimy, że to wywoła dostateczne odgłosy w prasie polskiej, a sami nie pozostaniemy dłużnik."

Jeśli nawet nie „dłużnik", tylko dłużni, to komu i co?"

Komu i co? Napewno nie panu z „Prosto z mostu" za jego subtelny, wnikliwy i inteligentny „komentarz" do malutkiej, skromnej, sprawozdawczej notatki w „Głosie".

Już to samo, że to właśnie, a nie co innego z „Głosu" znajduje w „Prosto z mostu" rezonans, i że taki właśnie a nie inny rezonans — aż nadto wyraźnie charakteryzuje postawę tego pisma wobec pism ideowych, o nadmiarze jego zmysłów apercepcyjnych bynajmniej nie świadcząc.

Nie mamy najmniejszej pretensji do „Prosto z mostu", że jest takiem pismem, jakiem jest. Nam nasza wybitnie ideowa postawa nigdy nie przeszkodzi ocenić i uznać wartość „Prosto z mostu" jako pisma l i t e r a c k i e g o. Ale stwierdzamy, że jako pismo ideowe, chociaż ideowe in potentia, jest ono dla nas całkowitem zerem. Gdy zaś pójdzie zdecydowanie i śmiało po linji swych — dzisiaj napoly ukrytych, napoly mętnych tendencyj — stanie się w oczach naszych czemś więcej — m i n u s e m. Niech „Prosto z mostu" będzie dobrej myśli, bo zadatki na ów awans już w niem dostrzegamy.

Z TEATRU

Teatr Polski

„Rozkoszna dziewczyna", komedja muzyczna w 3 aktach P. Gavaulta. Muzyka Ralja Benatzky'ego i T. Millera.

O sztuce tej nie można pisać więcej niż 30 wierszy w szanującem się piśmie, chociaż grana była 50 razy, bo mogłoby to zdemoralizować teatr i publiczność. Teatr, bo widziałby w tem dowód przemilczanej afirmacji sztuki tego typu i aniby mu na myśl nie przyszło zrezygnować z ambicji puszczenia drugiej półsetki na deski. Publiczność, boby się utwierdziła w swoich subtelnych jak zwykle i szlachetnych gustach.

„Rozkoszna dziewczyna" nie jest coprawda zbyt rozkoszna, ale jest sympatyczna. I to do powodzenia jej zupełnie wystarcza. W tej nowoczesnej krotochwili umysł znajduje całkowite odprężenie. Bawią go sytuacje pomysłowe i dowcipne, paczka „bohaterów" wcale nienudnych, kalambury itp., no a przedewszystkiem ten humor buzujący na scenie i przelewający się obficie poza rampę. Właściwie, to tej rampy wcale nie było. Scena i widownia tworzyły tak upragnioną a niezawsze osiąganą jedność. Śmiech był tutaj spoidłem — i to nastraja trochę pesymistycznie. Scena i widownia najczęściej i najlepiej tylko we farsach się zbliżają, gdy chodzi o repertuar poważny niewspółmierność jest chyba stałem zjawiskiem. Ano, wciąż jeszcze tkwimy w tem pierwszem stadjum, którem jest naskórkowe, łechtliwe, zewnętrzne współżycie z teatrem. Kiedyż nastąpi to drugie, głębsze, istotniejsze, żywsze, duchowe? I czy wogóle nastąpi?

Gra artystów całkiem zadawalała. Dysonanse, niekonsekwencje i niedociągnięcia — nierażące zresztą — to niechybnie wina samej sztuki, która tak się ma do psychologji, jak platońska rzeczywistość cieni do świata idei. Ada Zasadzianka nie była tutaj drażniąca i irytująca, co jej się rzadko zdarza. Ryszard Kierczyński grał zbyt inteligentnie jak na swą rolę upartego gamonia i potulnego asesora.

— To już wszystko.

REMIGJUSZ NEY.

MARJAN ŁEBKOWSKI

Opera

XII KONCERT SYMFONICZNY. — HRABINA. — MADAME BUTTERFLY.

Ostatni koncert symfoniczny był pewną sensacją ze względu na młodocianą skrzypaczkę, Ginette Neveu, laureatkę konkursu skrzypcowego im. H. Wieniawskiego. Piętnastoletnia solistka, aczkolwiek nie wykonała zapowiedzianego w programie koncertu Bacha, — mimo to jednak zademonstrowała nam szereg utworów dłuższych i krótszych, wykazując wielki talent oraz doskonałą technikę. Z większych utworów usłyszeliśmy „Ciaconne" Bacha, „Tzigane" Ravela oraz poloneza a-dur Wieniawskiego. Szczególnie pięknie wypadł polonez, w którym p. Neveu wykazała dużo uczucia oraz niepospolitą sprawność techniczną. Bardzo ładną formę wykonawczą miały naddatki: transkrypcje skrzypcowe walca as-dur Brahmsa oraz „Minstreles" Debussy'ego.

Panna Neveu — to świetny materjał wirtuozowski, obiecujący talent i naprawdę godny podziwu.

W II części koncertu orkiestra wykonała po raz I symfonję c-moll op. 7 Karłowicza. Dzieło to cechują: potęga młodego talentu oraz swoiste inwencje kompozytora. Wielkie napięcie dramatyczne i szlachetny rysunek przeważających się obrazów duchowych wywołują bardzo silne wrażenie, pozostawiając na długo wspomnienie nieziemskiego piękna. Dobrzeby było, aby częściej były wykonywane wielkie karłowiczowskie arcydzieła. Są one bowiem pełne najczystszej poezji i czaru, — noszą w sobie płomień wielkiego ducha i polskiej twórczej myśli muzycznej!

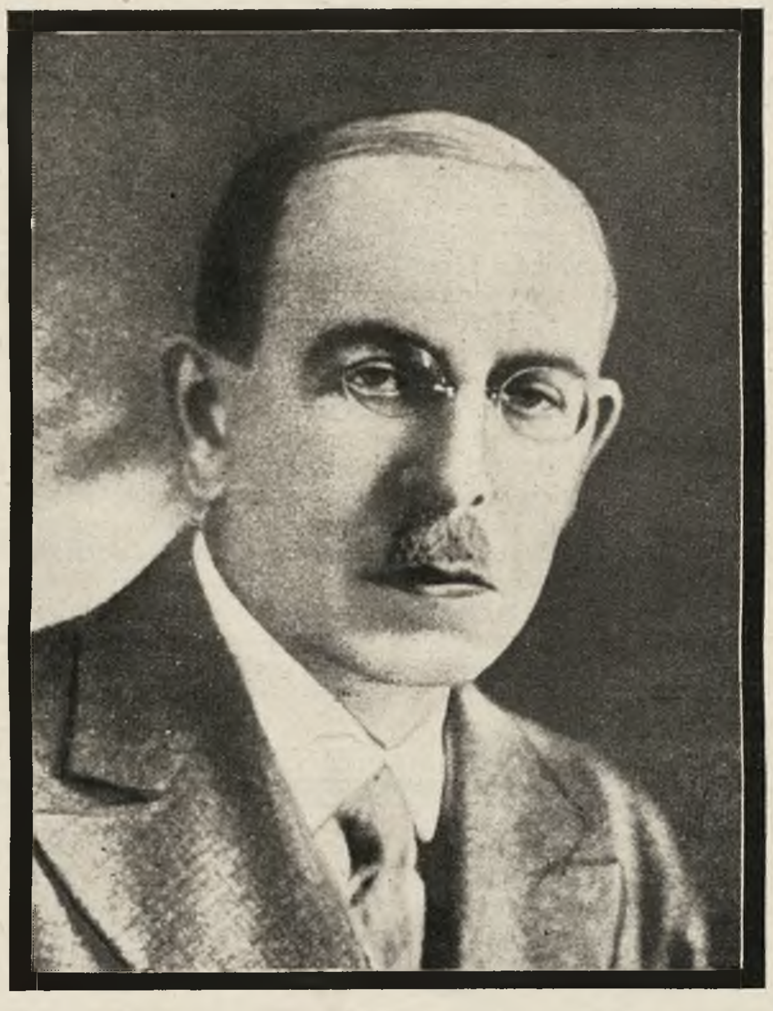
Orkiestrę prowadził z wielkim pietyzmem i niezwykłą wprawą dyr. Latoszewski, wykazując staranne i subtelne opracowanie karłowiczowskiej symfonji.

Wznowienie moniuszkowskiej „Hrabiny" zyskało sobie żywy aplauz wśród poznańskiego społeczeństwa. Operę odegrano po raz II przy szczelnie wypełnionej widowni (przeważnie młodzieżą szkolną). Obecnie... chyba kolej na nieśmiertelną „Halkę!" — Nasuwa się gorąca prosba pod adresem dyrekcji Teatru Wielkiego: — nie zapominajcie o literaturze rodzimej operowej! pamiętajcie, że trzeba jaknajczęściej przypominać społeczeństwu o tem, że Moniuszko żyje między nami i żyć będzie wiecznie! — że te wielkie jego arcydzieła nie przebrzmiały i nigdy nie będą zapomniane!

Sięgajcie częściej do nowoczesnej polskiej twórczości, która jest spadkobierczynią naszej muzycznej świetności i obejmuje piękne opery Różyckiego, Nowowiejskiego i innych narodowych pieśniarzy! —

Odtwórcami głównych partyj „Hrabiny" byli pp.: Kisielewska (hrabina), dr. Stokowska (Bronia), Urbanowicz (chorąży), Raczkowski (Kazimierz) oraz Sendecki (Dzidzi). Chór i orkiestrę prowadził fachowo i udatnie dyr. Latoszewski.

Wznowienie „Madame Butterfly" Puccini'ego należało do miłych imprez obecnego sezonu operowego. Ta czarowna, pełna wschodniej egzotycznej poezji muzyka, osnuta na motywach japońskich, posiada w sobie wiele uroku, a treść jej przykuwa słuchacza, wywołując silne napięcie psychiczne. Cudną Butterfly, (naiwnym latającym motylkiem), była p. Cywińska, której interpretacja głosowa i aktorska są bez zarzutu, rozwijając pełnię jej talentu. Pan Peter sekundował jej dzielnie jako Pinkerton. Partję Suzuki odśpiewała ładnie p. dr. Stokowska, a całości dopełnili pp.: Dolnicki (konsul), Cirin (Bonzo), Gruszczyński (pośrednik) oraz Sendecki (Yamadori). Chóry i orkiestrę przygotował starannie wytrawny p. Barański. Pod adresem tej ostatniej — maleńkie pytanie: czy czasem chwilami nie za głośno, zwłaszcza w finale ostatniego aktu? — A w momencie, kiedy już świta i radośnie świergoczą ptaszki (jakby na urągowisko biednemu „motylkowi"), przydałoby się nieco więcej efektów świetlnych, może trochę... różowego nieba, czy wschodzącego słońca!...



Ś. p. prof. Wacław Sobieski

W środę w godzinach popołudniowych zmarł w Krakowie nagle w 63 roku życia uczony polski, śp. prof. Wacław Sobieski. Do ostatnich niemal dni prof. Sobieski wykładał na Uniwersytecie Jagiellońskim historję powszechną, ciesząc się wśród młodzieży akademickiej i całego świata naukowego Polski i zagranicy wielką popularnością i sympatją.

Przed kilku zaledwie dniami — jak wiadomo — katedra prof. Sobieskiego została zniesiona postanowieniem ministra oświaty, mimo, że władze Uniwersytetu Jagiellońskiego jednomyślnie wypowiedziały się za jej utrzymaniem. Likwidację tej placówki poprzedziła kampanja całej prasy „sanacyjnej", z p. Kawałkowskim w „Gazecie Polskiej" na czele. Napaściom p. Kawałkowskiego sekundowały pozostałe pisma obozu pomajowego, przyczem jedno z nich artykułowi, wymierzonemu przeciw prof. Sobieskiemu, dało tytuł: „Sobieskiego do Berezy!".

Wiadomość o zgonie zasłużonego historyka, który łączył w swej pracy wielki umysł z gorącem sercem Polaka — okrywa społeczeństwo żałobą. Bezinteresowna, pełna oddania sprawie praca śp. Zmar.ego i Jego służba ojczyźnie i nauce jednały mu powszechne uznanie i szacunek. Ze śp. Zmarłym dziejopisarstwo polskie traci znakomitego, czołowego pioniera.

MARGINES PRASOWY

Zjawisko odpychające i ponure

W Nr. 9 „Akcji Narodowej" z dnia 20 marca 1935 r. p. R. Piestrzyński, omawiając znaną broszurę prof. B. Winiarskiego zatytułowaną „My i oni w walce o konstytucję", dosiada ulubionego Z. M. N.-owego konika, a raczej dziś już można powiedzieć — zajeżdżonej na śmierć, wyleniałej i robiącej bokami starej szkapy i wytyka publikacji przedstawiciela Stron. Nar. postawę liberalną, liberalistyczny dogmatyzm. Z. M. N. rację swego marnego bytu widzi jak wiadomo w w wyszukiwaniu dziur, jakie nastręcza dzisiejsza rzeczywistość, przyczem w jedne z nich z predylekcją i zamiłowaniem godnem lepszej sprawy zagląda (Stronnictwu Narodowemu) w inne zaś z pełną satysfakcją włazi („sanacja").

Nie myślimy się tu oczywiście zamozwańczo pasować się na obrońców prof. B. Winiarskiego i jego broszury, jednakże uważamy za właściwe zająć stanowisko.

Zdajemy sobie doskonale sprawę z tego, że to rozgraniczenie jakiego dokonał prof. Winiarski na „My i oni" jest w stu procentach istotne dla tego pokolenia, które autor broszury reprezentuje, jak i dla młodych. Można jedynie dodać, że człowiek z młodego pokolenia argumenty prof. Winiarskiego możeby wielokrotnie pomnożył, zaostrzył i postawił inaczej. Takie postawienie sprawy, jak to zrobił prof. Winiarski, ma dla nas tę dobrą stronę, że możemy na tych, którzy mówią o sobie „My" i na tych, których nazywają „Oni" popatrzeć z odpowiedniego dystansu. Jasnem zaś jest, że bezwzględnie rozstrzygającym dla nas będzie tu konsekwentnie narodowy punkt widzenia, wszystko zaś inne musi pozostać na planie dalszym.

To rozgraniczenie prof. Winiarskiego odpowiada niewątpliwie w dużej mierze temu przeciwstawieniu jakie robią hitlerowcy chociażby: bürgerlich und marksistisch. Stoimy dziś poza jednem i drugiem, poza demo - liberalizmem i marksizmem, co jednak nie może nam przeszkadzać w tem, abyśmy sprawy oceniali objektywnie i pamiętali co trzeba.

Chociażby bowiem prof. Winiarski w swej krytyce dobierał argumentów z katechizmu liberalnego, to, ponieważ doktryna liberalna nigdy uczuć narodowych nie zwalczała, a przeciwnie w swych odmianach najsympatyczniejszych patronowała wyzwoleniu ludów i narodowemu uświadamianiu mas, pozostanie on zawsze nacjonalizmowi bliższym od tych, których określił mianem „oni", wytrzebionych z uczuć narodowych przez marksizm „antyliberalny" na tyle, że znaleźli wspólny język z przedstawicielami „czarnej reakcji" i osiemnastowiecznego państwowego despotyzmu.

To też p. Piestrzyński, pomawiając demagogicznie i fałszywie prof. Winiarskiego o hołdowanie zasadom rewolucji francuskiej, zapomniał dodać, że sam jest zwolennikiem osiemnastowiecznych despotyj w stylu któregoś z francuskich Louis'ów. To też p. Piestrzyński nie ma w. sobie nic z przedstawiciela młodego pokolenia, o co mu tak strasznie chodzi; ujmuje starem zwyczajem sprawę zupełnie płytko nie może znaleść odpowiedniego dystansu. Wydaje mu się, że popełnia genjalność, przechodząc z jednej strony barykady na drugą, a tymczasem jak najnieopatrzniej zamienia jako rzekomy nacjonalista „siekierkę na kijek".

To czyni go i jego organizację na tle życia ideowego dzisiejszej młodzieży zjawiskiem najbardziej kostycznem, tamudycznem, a w ślad za tem najbardziej odpychającem i ponurem.

Nie każdy bowiem antyliberalizm jest nie narodowym. Antyliberalizm narodowy ma swoje specyficzne moralne podstawy. Antyliberalizm Z. M. N. jest nie narodowy a „czarnosecinny" Demagogiczne straszenie masonerją w ustach Z. M. N., który wczoraj opowiadał, że cała „sanacja" to masony, a dziś się z temi masonami brata, wygląda na kpiny. Wystąpienie p. Piestrzyńskiego jest jeszcze jednym dowodem na to, że „frondy" obozu narodowego były skończonym nonsensem, zamiast bowiem spodziewanego pogłębienia zagadnień, przyniosły tylko ich wulgaryzację i beznadziejne spłycenie, t. zn. „wodzowie" zachowali swój dawny styl: krzykactwo i obskurantyzm.

W tym samym numerze „Akcji Narodowej" popisuje się p. Zdz. Stahl. Jak się okazuje p. Stahl nie może jeszcze strawić zagadnienia pokoleniowego. Na niestrawność radzimy czytać intensywnie artykuły swych partyjnych kolegów, a za skutek można zaręczyć. No! a temsamem „młode pokolenie" pozbędzie się może jakoś wreszcie iście stahlowej piły.

Snobizm

Niema większego wroga wszelkiej słusznej walki o przebudowę i każdej idei od snobizmu. Snob potrafi ośmieszyć wszystko, zniechęcić i ostudzić każdego zapaleńca. Nikt tak chyba nie ośmieszył i nie zdepopularyzowal idei walki z kapitalizmem jak „Legjon Młodych". Nikt tak nie zbanalizował idei młodzieńczego buntu jak „Bunt Młodych" i „Problemy" ze swym wspaniale rozbudowanym mechanizmem konserwatywnej obłudy, nikt tak nie sparodjował pojęcia „rewolucji narodowej" jak O. N. R. Liczba kandydatów do tych łatwych „sukcesów" zdaje się mnożyć, coraz więcej jest takich, którzy zazdroszczą chwały na tem polu innym.

I tak cały szereg ludzi ciągnie w sukurs „Legjonowi Młodych" w ośmieszaniu walki z kapitalizmem banalnem krzykactwem i czczą frazeologją, czy obłudną stylizacją na proletarjusza.

Ta nibyto wielka antykapitalistyczna chmura, która się nad Polską zbiera, ma o wiele większe szanse niż gdzieindziej, aby był z niej mały deszcz, aby się to wszystko razem rozeszło po kościach i odstręczyło od walki tych, którzy poważnie myślą o przebudowie dzisiejszego ustroju gospodarczego. Przypomina się tu Kasprowicz, który to nadrabianie krzykiem nazywał po swojemu dosadnie: szczekaniem i dał za wygraną. I trzeba z przykrością stwierdzić, że Lewjatan, mając tylko takich wrogów, może spać spokojnie.

„Konia kują — żaba nogę podstawia"

Artykuł nasz pt. „Rewizja" odbił się pewnem echem w prasie. Obszernie cytuje go „Kurjer Warszawski", dalej krakowski „Glos Narodu" wreszcie staje się on punktem wyjścia dla przychylnych naszemu pismu uwag „Kurjera Lwowskiego". Artykuł nasz nie znalazł tylko łaski w oczach „neo - sanacyjnego" pisemka poznańskiego „Nowego Kurjera". Jak wiadomo głównym oragnem „sanacyjnym" w Poznaniu jest pismo wielkopolskich latyfundystów, konserwatywny „Dziennik Poznański". Obok tego jednakże „sanacja" stara się zawsze o satelitę dla staruszka — krętacza, satelitę przeznaczonego dla mas, a więc radykalizującego. Chociaż więc zdarzało się już, że taki satelita pod adresem, stojącego w centrum układu „Dziennika" wykrzykiwał: „Konserwatywny śmierdziel", to jednak szedł po tem z pokorą umierać na łono zapładniane deszczem złota. Charakterystyczną bowiem jest wielka śmiertelność wśrod poznańskich „sanacyjnych" satelitów prasowych. Obecnie zdaje się rolę satelity — komety — (krótki okres świecenia oraz pióropusz z brukowej sensacji i pornografji) „Dziennika Poznańskiego" przejął nabyty przez „sanację" od chadeków „Nowy Kurjer". Otóż ten „Nowy Kurjer" rzucił się na nas za „Rewizję", niestety tchu starczyło mu tylko na krótko. Nikt nas chyba nie posadzi o to, abyśmy chcieli się wdawać w palemikę z zamieszczonemi tam uwagami, pragniemy tu tylko napiętnować swoisty rozbój polemiczny. „Nowy Kurjer" mianowicie streszcza, zresztą zupełnie dowolnie, nasze uwagi i streszczenie to podaje w cudzysłowie, sugerując czytelnikowi, że to są nasze słowa. To — wystarczy.

Cały ten występek „Nowego Kurjera" najlepiej chyba określić znanem przysłowiem: „Konia kują — żaba nogę podstawia".

m.

Nowaczyński w Poznaniu

Staraniem redakcji „Głosu" odbył się ostatnio w Poznaniu odczyt Adolfa Nowaczyńskiego pt. „Spowodu haosu w Żeczypospolitej" (na temat nowej pisowni). Zarówno osobistość prelegenta, jak i aktualność tematu zgromadziły tłumnie miejscową inteligencję, która wybitnego pisarza i jego odczyt przyjęła z niekłamanym entuzjazmem. Adolf Nowaczyński schłostał i wykpił, w sposób sobie tylko właściwy, wszelkie zakusy nowoczesnych reformatorów (reformatołków) na piękno i tradycję języka polskiego, usiłujących zeń stworzyć jakiś nowoczesny międzynarodowy żargon i wyprać go doszczętnie z narodowej indywidualności. Prelegent znalazł w słuchaczach silny i zgodny rezonans.

Nowaczyński wystąpił również w IKS-ie, gdzie zagaił wieczór literacki, w którym brali udział: Swinarski, A. Janta - Połczyński i Pigwa.

r.

Do notatnika!

(Dokończenie ze strony 7-ej).

III-ą nagrodę — p. ministra spraw zagranicznych (w wysokości 2.500 zł.) — p. Henry Tymianka, (W. Brytanja).

IV-ą nagrodę — p. prezydenta m. st. Warszawy (w wysokości 2.000 zł.) — p. Brusia Goldstein, (Z. S. S. R.).

V-ą nagrodę — Warszawskiego Towarzystwa Muzycznego (w wysokości 2.000 zł.) — p. Ljerko Spiller, (Jugosławja).

V-ą nagrodę — Filharmonji warszawskiej (w wysokości 2.000 zł.) — p. Marja Luisa Sardo, (Włochy).

VII-ą nagrodę — rodziny Wieniawskich (w wysokości 1.500 zl.) — 11-letnia Ida Handlówna, (Polska).

VIII-ą nagrodę — p. Melanji Józefowej Wieniawskiej, wdowy po słynnym pianiście (w wysokości 500 zł.) — Hubert Anton, (Estonja).

IX-ą nagrodę — bezimiennego ofiarodawcy (w wysokości 500 zł.) — Bronisław Gimpel, (Polska).

Trzeba przyznać, że tym razem wykazano nieco więcej taktu, czyniąc patronem imprezy Henryka Wieniawskiego, słynnego kiedyś żydowskiego skrzypka, niesłusznie do dnia dzisiejszego uchodzącego za wirtuoza i kompozytora polskiego.

Spróbujmy dodać sumy nagród pieniężnych. Wynik dodawania da nam cyfrę 18.000 złotych (słownie: ośmnastu tysięcy złotych!) bez wliczenia nagród pochodzących ze źródeł obcych.

Kawał grosza! Przejdźmy się teraz po naszych uczelniach artystycznych. Zobaczymy tam tyle skrajnej nędzy, tyle płuc z głodu i złego bytowania żartych przez gruźlicę... Ilu np. malarzy nie pracuje, bo ich nie stać na farby! W takich warunkach czyni się pańskie gesty, by obdzielać hojnie żydów zbiegłych z całego świata.

Zapamiętać!

Adres Redakcji: Poznań, Św. Marcin 65. Konto P. K. O. 201410 Adres Administracji: Poznań, św. Marcin 65.

PRZEDPŁATA (wraz z przesyłką) rocznie 7 zł. półrocznie 3,50 zł.

CENY OGŁOSZEŃ: cała strona — 240 zł, 1/2 strony — 130 zł. 1/3 strony — 90 zł, 1/4 strony — 70 zł, 1/8 strony — 40 zł, 1/10 strony — 30 zł.

Rękopisy nieczytelne, bez podpisu i adresu autora nie będą uwzględniane. Przedstawiciel Redakcji w Warszawie: Zygmunt Stermiński, w Krakowie: Jan Bielatowicz. Rękopisów nie zwraca się.

Redaktor naczelny i wydawca: Jan Wyganowski, Poznań, Redaktor odpowiedzialny: Stanisław Sieciechowicz, Warszawa.

Czcionkami Drukarni Wydawniczej Fr. Krajna Sp. z o. o. Poznań, ul. Strzałowa 2a.